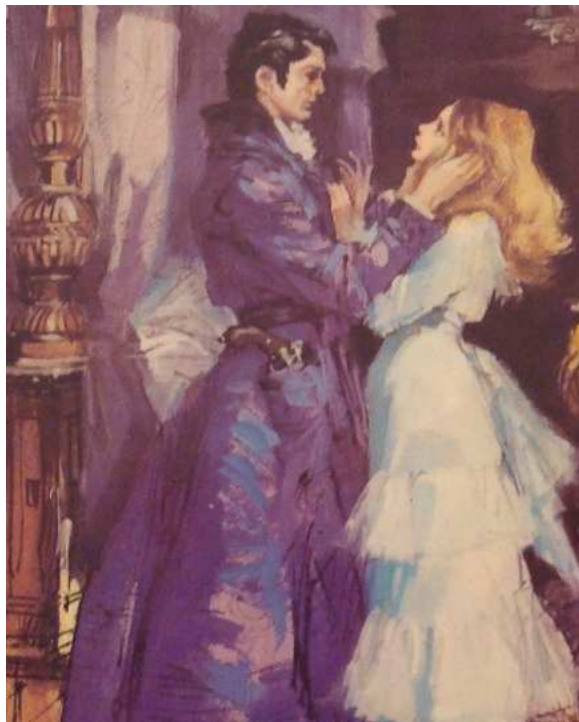


Barbara Cortland

Miłość jest grą

Tytuł oryginalny: Love is a gamble



Od Autorki

Na przełomie XVIII i XIX wieku, a szczególnie za czasów regencji, hazard osiągnął niespotykane wcześniej rozmiary.

Klub Watiera, któremu przez kilka lat prezesował lord Brummel, słynął z całonocnych gier, podczas których młodzi przedstawiciele arystokracji stawiali pod zakład całe fortuny, a nawet domy odziedziczone po bogatych przodkach.

Ta pasja do hazardu ujawniała się nie tylko podczas wyścigów konnych. Zdarzało się, że zapaleni gracze zakładali się o to, która mucha szybciej przejdzie po ścianie i pierwsza znajdzie się pod sufitem. Zamiłowanie do hazardu wynikało najczęściej z beczynności i nudy, która stale trapiła arystokrację.

Jeden z najsłynniejszych graczy okresu regencji, lord Alwanley - junior, odziedziczył spadek o wartości równej dzisiejszej sumie sześćdziesięciu, siedemdziesięciu tysięcy funtów, ale w krótkim czasie roztrwonił cały swój majątek popadając w znaczne długi. Był on jednym z tych niepoprawnych graczy, którzy dniami i nocami tracili ogromne sumy przy stolach karcianych i w każdej chwili skłonni byli założyć się o cokolwiek.

Błyskotliwy, inteligentny polityk - Charles James Fox - wywodzący się z niesamowicie bogatej rodziny, pobierając nauki w Eton College, a potem na uniwersytecie w Oxfordzie, stał się nałogowym graczem. To umiłowanie gier hazardowych doprowadziło Foxa do ogromnych długów, które prześladowały go do końca życia.

Pewnego dnia dwudziestoparoletni Charles przemawiał w Izbie Gmin, mając za sobą nie przespaną noc, którą, podobnie jak poprzedni dzień, spędził w kasynie Almack's.

Innego dnia, przed piątą po południu, po całej nocy i całym dniu spędzonym przy kartach, Fox stracił jedenaście tysięcy funtów, co w owym czasie stanowiło ogromną sumę pieniędzy.

Było to jednak nic w porównaniu z hazardem, jaki uprawiał generał Blucher. W czasie swojej wizyty w Londynie, po wycofaniu się Napoleona spod Moskwy, Blucher przegrał w klubie Carlton House dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Opuszczając po kilku dniach Londyn był praktycznie bez środków do życia.

Rozdział 1

1817

Idona wracała z ogrodu, trzymając na ramieniu kosz pełen narcyzów. Zastanawiała się, jak ułożyć z nich wieniec na grób ojca. Rodzice nazywali ją czasami Norse, co znaczy „Bogini wiosny”, dlatego właśnie te wiosenne kwiaty były jej tak bliskie. Miały dla niej większą wartość, niż kwitnące latem wyniosłe róże czy też jesienne chryzantemy.

Znowu rozmyślała nad losem Narcyza. Tę historię opowiedziała jej matka, gdy Idona była jeszcze małą dziewczynką. Wyobrażała sobie tego młodego, przystojnego mężczyznę, który stoi nad brzegiem leśnego bajorka i podziwia swe odbicie w lustrze wody. Sięga ręką by dotknąć swego oblicza, wpada do stawu i tonie.

Idona przypomniawszy sobie, jak bardzo przestraszyła się tego, co stało się z Narcyzem. Jednak jej matka, lady Overton, uśmiechnęła się i mówiła dalej:

- Echo, nimfa, która kochała Narcyza bez wzajemności, przybiegła z płaczem i przyprowadziła swoje siostry. Chciały wyciągnąć ciało młodzieńca z wody, ale Narcyz zniknął.

- Jakie to smutne - wyszeptała Idona.

- Tylko biały kwiat unosił się na powierzchni stawu - opowiadała matka — i ciągle jeszcze można usłyszeć Echo, jak w odludnych miejscach wzywa Narcyza.

Ta historia pobudziła wyobraźnię Idony, mimo iż miała wtedy zaledwie sześć lub siedem lat.

Później, spacerując samotnie po ogrodzie albo po lesie, wołała głośno, a kiedy słyszała powracający do niej głos, zdawało jej się, że to Echo wzywa utraconego na zawsze Narcyza.

Gdy zobaczyła swój dom, czarno-biały dworek zbudowany w czasach panowania dynastii Tudorów, zapomniała o kwiatkach w koszyku i zaczęła myśleć o tym, dla kogo je zebrała.

Chociaż minął już tydzień od śmierci ojca, nadal nie potrafiła uwierzyć, że nigdy więcej go nie zobaczy. Nigdy więcej nie podejdzie do niej. Nie zobaczy jego przystojnej twarzy i łobuzerskich oczu. Nigdy już nie wybierze się na polowanie w wysokim, zsuniętym na bakier kapeluszu.

Był doskonałym jeźdźcem. Choć jego konie rasą nie dorównywały wierzchowcom innych myśliwych, zawsze był pierwszy w pościgu za zwierzyną.

- Jak to się mogło stać, że cię straciłam, tatusiu? - zadawała sobie w myślach pytanie.

Weszła do domu przez werandę i skierowała się w stronę pokoju, w którym trzymano wszystkie dzbanki i wazon. Nazywano go „pokojem kwiatowym”.

To tutaj ogrodnicy, pokojówki, a później ona wraz z matką układały kwiaty. Potem cały dom wypełniał się ich zapachem. W rezydencji Overtonów nigdy nie czuło się stęchlizny tak typowej dla starych budynków.

Postawiła kosz na stoliku stojącym pośrodku niewielkiego pokoju.

- Narcyzy - pomyślała - są tak piękne i delikatne. Wyglądają jak gwiazdki, które spadły z nieba. Szkoda byłoby łamać im łodygi i upinać je w zwykły wieniec.

Zamiast tego postanowiła ułożyć kwiaty w niskim wazonie i postawić je na grobie ojca, tak samo jak stawia się bukiety na wypolerowanych stolikach w salonie.

Gdy wyjmowała z koszyka pierwszego narcyza, usłyszała stukanie do drzwi wejściowych.

Domyślała się, że stary Adam nic nie słyszy, ponieważ jest coraz bardziej głuchy, a Adamowa rano o tej porze jest na górze i ścieli łóżko albo zamiata korytarze.

Od roku Idona często sama musiała się tym zajmować. Nie było pieniędzy, by opłacić tylu służących, ilu pracowało tutaj za życia matki.

Zwłoki ojca przywieziono z Londynu, aby pochować go na przykościelnym cmentarzu, tam gdzie spoczywali jego przodkowie. Ucieszyła się wtedy, że będzie leżał u boku matki.

Nawet teraz, dwa lata po jej śmierci, na myśl o niej w oczach Idony pojawiały się łzy.

Była zima. Nie mogli nic zrobić. Ogromne ilości drewna, które przynosili z lasu, nie pomagały ogrzać wielkiego domu. Po śmierci matki cały świat ojca rozsypał się w kawałki.

Wcześniej byli ze sobą bardzo szczęśliwi. Nie tylko Idonie, ale także wielu innym ludziom zdawało się, że są jak postacie z baśni.

- Nikt - myślała Idona — nie był tak cudowny jak mama. Była drobna, kochana i tak bardzo kobieca.

Ojciec natomiast wyróżniał się wysokim wzrostem, łobuzerskim spojrzeniem, a do tego był niezwykle przystojny i bardzo męski.

Nie byli bogaci, ale matka Idony systematycznie otrzymywała pensję z rodzinnego majątku. Te pieniądze wystarczały na dostatnie życie i dopiero gdy lady Overton umarła, okazało się, że pensja wygasła wraz z jej śmiercią.

W rzeczywistości było to przygotowane przez jej ojca, hrabiego Hampstead. Miał nadzieję, że córka poślubi kogoś lepszego niż ojciec Idony, którego pogardliwie nazywał „zubożałym baronem”.

Nawet gdy po latach okazało się, iż sir Richard Overton daje żonie pełnię szczęścia, hrabia nie złagodził ani też nie zmienił swych postanowień.

Kiedy sir Richard doszedł do siebie po tragicznych przeżyciach związanych z śmiercią ukochanej żony, powiedział do córki:

- Teraz, kochanie, będziemy musieli zacisnąć pasa i zacząć sami troszczyć się o siebie.

Ciosy spadały na nich jeden za drugim, jednak dla Idony najważniejsza była troska o ojca, który niemal odchodził od zmysłów.

Nie był człowiekiem, który w takiej sytuacji zacząłby pić, za to całymi dniami zameczał konie szaleńczą jazdą. Stawał się coraz bardziej nieostrożny. Próbował przeskakiwać zbyt wysokie przeszkody, jeździł od rana do zmierzchu, tak że później konie ledwo mogły się dowlec do stajni.

To właśnie wtedy zaczął wyjeżdżać do Londynu na tydzień i dłużej, zostawiając Idonę samą. Dotychczas było to nie do pomyślenia.

Mieszkali trochę na północ od stolicy. Wystarczyło niecałe półtorej godziny, aby przebyć drogę z majątku Overtonów do klubów St. James.

Idona potrafiła zrozumieć, że ojciec pragnie towarzystwa przyjaciół, którzy pomagali mu zapomnieć o pustym domu, jednak ich sytuacja finansowa nie pozwalała na tak częste wyjazdy połączone z rozrywką i ekstrawagancją, nieodłączną dla świata, w którym sir Overton tak bardzo lubił przebywać.

Dobrze znał ten świat, jeszcze zanim się ożenił.

Chociaż zawsze, jak mówił, był „dotknięty ubóstwem”, czego nie można było powiedzieć o jego kompanach, jako przystojny kawaler łatwo mógł obracać się w tym towarzystwie bez potrzeby zbyt częstego sięgania po portfel.

Przyjaciele sir Richarda przyjęli jego powrót z entuzjazmem.

Wszyscy trochę się postarzel, jednak ich dorośli synowie podziwiali w Overtonie człowieka, który świetnie jeździ konno, jest pierwszorzędnym graczem, a do tego posiada swego rodzaju joie de vivre - radość życia, której tak często brakowało znudzonym, cynicznym elegantom z otoczenia księcia regenta.

Sir Richard umiał ich rozweselić, a śmiech w tym towarzystwie był ceniony dużo wyżej niż pieniądze.

Jednocześnie, bez względu na to ile wydawał, Idona wiedziała, że nie mogą sobie na to pozwolić.

Zanim skończyła osiemnaście lat starała się oszczędzać, gdyż była pewna, że jej matka również robiłaby wszystko, aby ojciec mógł zabawić się w Londynie.

Musiała zwolnić większość ogrodników. Zostawiła tylko najstarszych, którzy godzili się pracować za bardzo małe wynagrodzenie, ponieważ nie mieli dokąd pójść. W domu pomagał jej jedynie stary Adam i jego żona.

Była jeszcze niania, która właściwie stała się członkiem rodziny i Idona nie wyobrażała sobie życia bez niej.

Niania zajmowała się gotowaniem, gdy ojciec przyjeżdżał z Londynu. Dzięki swojej zręczności potrafiła wyczarować niemal dokładnie takie same dania, jakie jadał za życia matki, gdy w domu zatrudniony był kucharz.

Jednak z upływem miesięcy Idona zdała sobie sprawę, że ani smaczne posiłki, ani też dobrze utrzymane konie nie wystarczą, by zatrzymać ojca w majątku nawiedzonym przez duchy przeszłości.

Gdy leżał sam w ogromnym łożu w „pokoju królewskim”, tak strasznie brakowało mu żony, iż pragnął jak najprędzej stąd uciec.

- Muszę jechać do Londynu, Idono - mówił po tygodniu. - Jeden z przyjaciół pożycza mi konie, które są znacznie lepsze od moich.

Idona nie chciała czynić mu wymówek, tym bardziej że widziała, jak cierpi patrząc na portret matki w salonie i jak stara się unikać małej bawialni, którą lady Overton urządziła według własnego projektu.

Tutaj właśnie przesiadywała Idona, gdy ojciec wyjeżdżał do Londynu. Eleganckie francuskie meble, bladobłękitne, srebrzące się obicia krzesel sprawiały, iż czuła bliskość matki.

- Cóż mogę zrobić, mamó? - pytała czasem, gdy została sama. Ojciec wyglądał bardzo elegancko w ubraniu, za które jeszcze nie zapłacił, a jego szelmowskie spojrzenie mówiło jej o rozrywkach, jakie czekają na niego w Londynie. On sam nigdy z nią o tym nie rozmawiał.

- Prawdę mówiąc, mamó - mówiła dalej - tata nie ma tutaj nic do roboty. Konie się starzeją, a nam brakuje pieniędzy, żeby kupić nowe.

Wzdychała ciężko, myśląc o tym, że nie mogą sobie też pozwolić na służących.

Przez kilka tygodni wydała wszystkie pieniądze przeznaczone na utrzymanie domu po to, by zapewnić ojcu smaczne posiłki. Teraz, aż do jego powrotu, trzeba będzie bardzo oszczędzać.

- To nic nie da, panienko! - oświadczyła tego ranka niania. - Tak dalej być nie może! Było nam bardzo źle, kiedy żył ojciec panienki, ale teraz, gdy nas opuścił - świeć panie nad jego duszą - musi się panienska dowiedzieć, ile właściwie zostało pieniędzy albo, z całą pewnością, wszyscy znajdziemy się na cmentarzu.

Niania zawsze mówiła to, co Idona bała się wyrazić słowami.

Wyszła z kuchni i skierowała się do ogrodu, cały czas zmuszając się do myślenia. Postanowiła posłać po adwokata ojca, mieszkającego w Barnet.

Wiedziała, że należało to zrobić już parę dni temu. Ciągle jeszcze była w szoku wywołanym śmiercią ojca. Przez kilka dni starała się tylko opanować łzy i z dziecinną naiwnością wierzyła, że wszystko, prędzej czy później, rozwiąże się samo.

Musiała się jeszcze dowiedzieć, co naprawdę wydarzyło się w Londynie.

Nie chciało jej się wierzyć, że ojciec zginął w pojedynku. Wydawało jej się, że takie sprawy między dżentelmenami są tylko kwestią honoru i rzadko kończą się śmiertelnym postrzałem.

Dobry strzelec powinien był zranić przeciwnika w rękę, a gdy pojawiła się pierwsza krew, sekundant kończył pojedynek uznając, że zwycięzca obronił swój honor.

Ponieważ ojciec był wyśmienitym strzelcem, nie chciało jej się wierzyć, iż nie wygrał pojedynku, w którym brał udział, a tym bardziej w to, że jego przeciwnik zastrzelił go.

Dwaj mężczyźni, którzy przynieśli ojca do domu, oznajmili krótko, iż zmarł na miejscu od postrzału w serce.

Ponieważ wiedzieli, że mieszka niedaleko od Londynu, przywieźli go tutaj w zamkniętym powozie.

Ciało ojca zostało przeniesione na górę i zgodnie ze wskazówkami Idony ułożone na dużym łóżku z baldachimem, tam gdzie zawsze sypiał.

Powiedziawszy zaledwie kilka słów o tym, że ojciec zginął w pojedynku, mężczyźni odjechali. Idona nie zdążyła nawet na tyle dojść do siebie, aby spytać o szczegóły lub choćby poznać ich nazwiska.

Później robiła sobie wyrzuty, że postąpiła tak głupio, jednak tamtego dnia, dowiedziawszy się o śmierci ojca, była zupełnie oszołomiona i nie potrafiła zebrać myśli.

Lekarz, którego znała od dziecka, zatroszczył się o wszystko.

Cichym i współczującym głosem powiedział jej, że ojciec nie cierpiał przed śmiercią. Rzeczywiście, zanim włożono go do trumny, spojrzała na jego twarz i zdawało jej się, że widzi uśmiech, tak jakby ojciec był rozbawiony całą tą sytuacją.

- Jak mogłeś opuścić mnie, tato? - spytała całując na pożegnanie jego zimny policzek.

To samo pytanie powtarzała setki razy w ciągu kolejnych paru dni.

Teraz, gdy zmierzała w stronę drzwi, myślała, że być może to pan McComber, adwokat ojca, który nie czekając na wezwanie i zdając sobie sprawę, że będzie potrzebny, przyjechał zobaczyć się z nią,

Otworzyła drzwi. Za progiem stał mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziała, niemniej jednak uderzyło ją podobieństwo tego człowieka do prawnika ojca.

- Czy to posiadłość Overtonów? - zapytał grzecznie.

- Zgadza się - odparła Idona.
- Czy to dom świętej pamięci sir Richarda Overtona?
- Tak.
- Chcę rozmawiać z osobą, która teraz zarządza majątkiem.
- Jestem córką sir Richarda. Nazywam się Idona Overton.

Był to człowiek w średnim wieku. Na jego skroniach bielą siwizna. Gdy usłyszał odpowiedź Idony, w jego oczach pojawiło się zdziwienie, lecz zaraz oznajmił:

- W takim razie, panno Overton, będę musiał zamienić z panią kilka słów.
- Proszę bardzo - odrzekła Idona. - Zechce pan wejść do środka?

Otworzyła drzwi szerzej, a ponieważ świeciło słońce, zdecydowała, że nie będzie ich zamykać. Poprowadziła gościa do salonu.

Był to uroczy pokój i choć Idona mieszkała teraz sama, zawsze układała kwiaty w wazonach, tak jak robiła to za życia ojca i jeszcze wcześniej, gdy żyła matka.

Na stoliku koło kominka stały bukiety z pierwszych zonkili i pierwiosnków, które rozświetlały pokój niczym promienie wiosennego słońca. Salonik wydał się Idonie piękniejszy, niż był w rzeczywistości.

Ktoś z zewnątrz zauważyłby pewnie, że dywan był miejscami przetarty, brokatowe zasłony nieco wyblakły, a obicia należałoby już wymienić.

Jednak Idona widziała tylko to, co kiedyś cieszyło jej matkę: stare lustro i portrety przodków Overtonów gromadzone tu od stuleci.

Porcelana nie miała wielkiej wartości, ale ponieważ widziała ją od najmłodszych lat, była dla niej czymś bardzo ważnym.

- Zechce pan usiąść? - zapytała gościa.

Mężczyzna zajął miejsce, a ona usadowiła się naprzeciw.

Gdy zdejmował z kolan skórzany neseser, miała dziwne i nieprzyjemne wrażenie, iż przynosi złe wieści.

To przecucie było tak silne, że zanim zdążył wyrzec słowo, spytała drżącym głosem:

- Dlaczego chciał się pan ze mną widzieć?
- Wydaje mi się, panno Overton, że powinienem się przedstawić - rzekł mężczyzna. -

Nazywam się Lawson i jestem prawnym przedstawicielem markiza Wroxham.

Idona nie spodziewała się takiej odpowiedzi, dlatego była trochę zmieszana.

- Markiza Wroxham? - powtórzyła po nim. - Ale dlaczego markiz przysłał pana tutaj?
- Wydawało mi się - pan Lawson kontynuował wolno i pompatycznie - że zdążyła się

pani już dowiedzieć, co stało się na krótko przed śmiercią pani ojca.

- A co się stało?

- Grał z markizem w karty w klubie White, jednym z klubów St. James. Tego wieczora przegrał na rzecz markiza posiadłość znaną jako Rezydencja Overtonów wraz z przylegającymi gruntami, domami i gospodarstwami, znajdującymi się na wyżej wymienionych gruntach.

Pan Lawson wyjął z nesesera jakiś dokument i przeczytał to wszystko na głos.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, Idona spytała przerażonym głosem:

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że mój ojciec... przegrał w karty... swój dom?

- Stawki były bardzo wysokie, panno Overton. Jego lordowska mość postawił w zakład pięćdziesiąt tysięcy gwinei.

- Nie mogę w to uwierzyć! - odparła Idona. - I pan... mówi... że papa przegrał?

Po raz pierwszy w głosie pana Lawsons pojawił się odcień współczucia.

- Niestety, panno Overton, dla pani to bardzo smutne, ale przegrał!

- Wszystko? Nie mogę... Nie mogę uwierzyć... że przegrał wszystko.

- Zakład został potwierdzony i musi pani zrozumieć, że wypełniam tylko swoje obowiązki, do których należy poinformowanie pani, że cała posiadłość należy teraz do jego lordowskiej mości markiza Wroxham. Co więcej, według umowy wszystkie przedmioty znajdujące się w budynku mieszkalnym i stajniach, jak również żywy inwentarz, stają się własnością markiza.

Idona wiedziała, że ojciec, zgadzając się na taki układ, miał na myśli konie, jednak trudno jej było uwierzyć, że postawiłby tak wiele na jedną kartę.

Przez głowę przemknęła jej myśl, że gdyby wygrał, tak jak miał nadzieję, pięćdziesiąt tysięcy gwinei, mogliby przez lata żyć w dostatku i luksusie.

Była to ogromna suma. Idona mogła zrozumieć, że ojca skusiła szansa wygranej, która pozwoliłaby mu na życie, jakiego zawsze pragnął. Mógłby kupować najlepsze konie i jeździć na wszystkie wyścigi, bez względu na to gdzie się odbywały. Była to jednocześnie szansa na własny dom w Londynie.

A jednak przegrał!

Po raz pierwszy przyszło jej na myśl pytanie, na które prawdopodobnie znała już odpowiedź.

Poczuła zmieszanie, ale z wahaniem zapytała:

- Czy zechce mi pan powiedzieć... czy... pojedynek, w którym mój ojciec brał udział, miał miejsce zaraz po tym... jak dowiedział się... że stracił wszystko co posiadał na rzecz... markiza Wroxham?

Jej głos drżał, gdy wymawiała te słowa. Pan Lawson spojrział na nią, a potem odpowiedział:

- Słyszałem, panno Overton, że po wyjściu z klubu pani ojciec naubliżał jednemu z jego członków, który ma reputację doskonałego strzelca.

Idona westchnęła.

Teraz wiedziała już, że ojciec chciał umrzeć. Zobaczyła w myślach scenę pojedynku. Gdy przeciwnik wypalił z pistoletu, ojciec z rozmysłem zmienił pozycję. Zamiast stać bokiem, z bronią w lewej ręce, odwrócił się przodem.

Tak jak się spodziewał, przeciwnik nie mógł już nic uczynić, by zapobiec jego śmierci. Kula trafiła w serce, zabijając go na miejscu.

Przez dłuższą chwilę nie wyrzekła ani słowa, więc odezwał się pan Lawson:

- Mogę tylko wyrazić swój żal, panno Overton, że przynoszę pani tak smutne wieści.

- Jestem panu wdzięczna za to, że był pan ze mną szczery - odparła Idona. - Być może zechce mi pan powiedzieć, co markiz zamierza uczynić z tym domem i posiadłością?

Mówiąc to jęknęła cicho i dodała:

- Jego lordowska mość będzie zapewne wypłacał renty starym ludziom z naszej wioski?

- Na pewno sama pani stwierdzi, że jego lordowska mość jest człowiekiem hardym, ale sprawiedliwym - powiedział pan Lawson. - Jednak musi pani zrozumieć, że wygrał w karty już wiele majątków i są one często ogromnym obciążeniem.

- W takim razie dlaczego się nimi kłopotcze? - spytała ostrym głosem Idona. — Na pewno zdaje sobie sprawę, że wygrywając czyjś dom, miejsce, w którym żyli przodkowie, stwarza... ogromne trudności... nie tylko temu, kto przegrywa, ale także ludziom, którzy są od niego uzależnieni i którzy mu ufają.

Głos Idony drżał pod wpływem miotających ją uczuć. Pan Lawson, czując zażenowanie, wpatrywał się w dokumenty.

- Jestem tu tylko po to, aby spełnić swój obowiązek, panno Overton. Muszę przeprowadzić inwentaryzację majątku, a więc może lepiej porozmawiałbym z zarządcą.

Nadludzkiem wysiłkiem Idona powstrzymywała się od łez i po paru sekundach udało jej się powiedzieć:

- Nie ma tu zarządcy. Pod nieobecność ojca sama doglądałam majątku, który zresztą nie jest zbyt duży.

- Posiadacie trzy farmy?

- Przekazaliśmy je chłopom, którzy od lat płacą nam dzierżawę.

- Macie także wioskę.

- Nie wszystkie budynki są nasze. Do majątku należą drewniane domy i gospoda, która płaci nam niewielki czynsz. Nie są to duże pieniądze, gdyż budynek stoi daleko od drogi i w związku z tym dochody też są niewielkie.

Pan Lawson zanotował coś na swojej kartce, po czym zadał kolejne pytanie:

- Macie konie?

- W stajni jest ich teraz sześć, natomiast trzy żrebne klacze pasą się na pastwisku - poinformowała.

Pan Lawson notował wszystko, łącznie z liczbą psów posiadanych przez ojca. Były one już bardzo stare i tylko jeden mógł towarzyszyć mu w czasie polowań.

- Zajmijmy się teraz domem.

Idona wzięła głęboki oddech.

- Czy chce mi pan powiedzieć, że wszystkie meble mojej matki, a także jej portret, nie są już moją własnością?

- Obawiam się, że nie.

Idona ścisnęła palce starając się powstrzymać od płaczu. Chciało jej się krzyżeć, że tego już nie będzie w stanie znieść.

Wtedy jednak duma, z której nie zdawała sobie sprawy, kazała jej spokojnie zapytać:

- Spodziewam się, że moje rzeczy osobiste należą do mnie?

- Jestem pewien, że gdy porozmawia pani z jego lordowską mością, będzie on w tej sprawie wspaniałomyślny, jednak, od strony prawnej, wszystko należy do niego, również i pani.

Nastąpiła cisza. Idona wpatrywała się w niego, a jej oczy stały się nienaturalnie duże.

Po chwili, która zdawała się trwać całą wieczność, Idona rzekła nieswoim głosem:

- Czy... Czy pan powiedział... że jestem teraz... własnością jego lordowskiej mości?

- W umowie jest zapisane - odrzekł wolno pan Lawson - że wszystkie żywe istoty należące do sir Richarda Overtona, znajdujące się w domu i poza domem, są również przedmiotem zakładu.

- W jaki sposób może się to odnosić do... istoty ludzkiej?

- Według prawa, dziecko jest własnością rodziców, chociaż, w niektórych przypadkach, z chwilą gdy owo dziecko ukończy dwadzieścia jeden lat, stan ten może się zmienić. Jest to jednak kwestia sporna.

- Nie... Nie wierzę w to! - wykrzyknęła Idona.

- Szczerze mówiąc, wątpię, czy mogłaby pani udowodnić w sądzie, iż nie jest pani własnością markiza, tak jak konie, psy i żywy inwentarz znajdujący się na farmach, które należały do pani ojca. No, chyba że jest pani przygotowana na bardzo kosztowne procesy.

Idona podniosła się z krzesła i podeszła do okna.

- Tak... Tak być nie może - stwierdziła. - W żadnym wypadku.

Stała twarzą do okna. Słońce oświetlało jej włosy sprawiając, iż wyglądały jak jasna aureola wokół małej dziewczęcej główki.

Nastąpiła chwila ciszy, zanim pan Lawson oznajmił:

- Informuję panią, jak mają się sprawy z czysto prawnego punktu widzenia, jednak spodziewam się, że markiz zrozumie pani kłopotliwą sytuację. Prawdopodobnie będzie pani mogła przekonać go i uzyskać zgodę na zamieszkanie u krewnych.

Głos pana Lawsona świadczył o braku przekonania, że laska będzie wola markiza. Wręcz odwrotnie, Idonę poraziło, iż w jego głosie więcej było nadziei niż pewności.

Odwróciła się od okna i spytała:

- Jak to się mogło stać, że mój ojciec... zrobił coś tak całkowicie i bezsprzecznie... szalonego? Jak mógł się zgodzić na zakład, który w wypadku przegranej... pozbawiał go wszystkiego... wszystkiego co posiadał?

Nie usłyszawszy odpowiedzi pana Lawsona, pytała dalej:

- Kto właściwie sformułował warunki zakładu? Nie potrafię uwierzyć, że mój ojciec był autorem tych wszystkich ustaleń.

Pan Lawson nadal milczał, więc po chwili wyjąkała:

- Proszę... Niech mi pan powie... Chcę znać prawdę.

- Wie pani, że nie byłem obecny przy tej grze - odparł pan Lawson - ale ponieważ zakład został sformułowany w taki sam sposób, jak wiele innych, którymi zajmowałem się w imieniu jego lordowskiej mości, mogę jedynie przypuszczać, że to markiz dyktował warunki.

- Wiedziała! - wykrzyknęła Idona - Wiem, że papa nigdy nie postąpiłby w tak zły i okrutny sposób... Nie pozwoliłby na to, abym ja i wszystko... wszystko co kocham w tym domu, było stawką w tak szalonej... idiotycznej grze.

Jej głos załamał się. Ponownie odwróciła się do okna. Patrzyła na ogród i dziką, zaniedbaną, a mimo to uroczą sadzawkę. Myślała, że to bardzo podobne do ojca, iż poprzez śmierć chciał uniknąć konsekwencji swojego głupiego postępu.

Przyszedł jej na myśl uśmiech, który widziała na jego ustach. Wiedziała, że na przekór kłopotom i trudnościom, jakie niesie życie, śmiał się z tych, którym jego przegrana sprawiała radość.

- Tato, zapomniałeś, że ja tu jestem - chciało jej się krzyknąć na cały głos.

Przypomniała sobie o obecności pana Lawsona.

Odwrociła się, pragnąc jeszcze raz wyrazić swój bunt, jednak poczuła słabość, bezradność i straszliwą obawę.

- Co... Co powinnam uczynić?

Wypowiedziała te słowa szeptem, lecz on usłyszał.

Potrząsnął głową z wyrazem współczucia, ale po chwili jego spojrzenie stało się bardzo stanowcze.

- Chciałbym pani pomóc, panno Overton - powiedział. - W rzeczywistości jednak pozostaje pani tylko czekać, aż jego lordowska mość przedstawi swoje intencje co do tego konkretnego majątku.

- Czy myśli pan... że tu przyjedzie?

Wydawało jej się, że pan Lawson wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, nie wiem - odrzekł. - Zdarzało się, że gdy jego lordowska mość wchodził w posiadanie czegoś niezwykłego, co miało dla niego szczególną wartość, jak na przykład stadnina arabskich koni, którą wygrał miesiąc temu, odwiedzał to miejsce bezzwłocznie.

- A... w innych wypadkach?

- Czasem mijają miesiące, zanim zainteresuje się nową posiadłością.

- Co się stanie... z nami... do tego czasu?

- Według instrukcji jego lordowskiej mości, która dotyczy wszystkich tego typu majątków, otrzymałem odpowiednie fundusze na utrzymanie czystości i porządku w posiadłości. W imieniu jego lordowskiej mości zebrane zostaną wszystkie należne czynsze. Oczywiście, bez odpowiedniego pozwolenia nie wolno mi wydawać pieniędzy na utrzymanie gospodarstw i domów, które nie są częścią rezydencji.

Pan Lawson był znowu konkretny i zasadniczy, natomiast Idona miała wrażenie, że słyszy wyrok oznaczający ostateczny upadek domu Overtonów, wyrok, od którego nie ma odwołania.

Obserwując, jak gość wkłada papiery do nesesera, powiedziała:

- Zgodzi się pan... że troje służących, którzy pracują w domu... i ja również... musimy coś jeść... Jako że mój ojciec nie zostawił pieniędzy, a tylko... wiele długów... zastanawiam się, czy jego lordowska mość weźmie to wszystko pod uwagę.

- Podejrzewam, że jeśli jego lordowska mość wyrazi taką wolę, sprzedane zostaną niektóre sprzęty domowe i kilka koni, co pozwoli na spłatę długów pani ojca.

Idona zagryzła wargi, aby powstrzymać jęk. Wiedziała, że jedyne przedmioty nadające się do sprzedaży to meble matki i kilka - naprawdę kilka - obrazów.

- Co się tyczy utrzymania domu, pani i służących, będziecie pełnić rolę dozorców majątku aż do czasu, gdy jego lordowska mość zdecyduje się na sprzedaż lub wynajęcie rezydencji. W takim wypadku - kontynuował Lawson - otrzymacie regularną pensję na utrzymanie. Co się tyczy pani, panno Overton, mogę mieć tylko nadzieję, że jego lordowska mość przeczyta moje zalecenia i przyjedzie tu tak szybko, jak to będzie możliwe.

Sposób w jaki mówił uświadomił Idonie, że nie miał wielkich nadziei na to, iż potrafi wpłynąć na markiza.

Przypomniała sobie, że nawet będąc własnością markiza Wroxham, ciągle jeszcze jest panią i gospodynią w rezydencji Overtonów.

- Wydaje mi się, panie Lawson - rzekła - iż powinnam zaproponować panu coś do jedzenia, albo może kieliszek sherry?

- Dziękuję - odparł Lawson - lecz sama pani rozumie, iż przed powrotem do Londynu powinienem odwiedzić wszystkie trzy farmy i jak najwięcej wiejskich domów. Będę pani wdzięczny za pokazanie mi najważniejszych pokoi rezydencji. Myślę, że wystarczy, jeśli poda mi pani liczbę sypialni. Wtedy będę mógł wyjechać.

Mówiąc to podniósł się z krzesła. Idona poprowadziła go do jadalni, gabinetu ojca, który był jednocześnie biblioteką, a także do mniejszego salonu i czytelnicy.

Na koniec, choć trudno jej było to znieść, otworzyła drzwi do bawialni urządzonej przez matkę.

Wiedziała, że pan Lawson dostrzegł i podziwiał stojące tu cenne meble. Była pewna, że będą one pierwszą rzeczą, którą odnotuje w swoim notatniku, gdy tylko opuści ten dom.

Między oknami znajdowały się dwa przepięknie rzeźbione lustra, które zawsze dawały matce tyle radości. Przy marmurowym obramowaniu kominka wisiały miniatury przedstawiające dziadów i pradziadów ojca. Miała wrażenie, że słyszy jego słowa, które dziesięć lat temu skierował do matki.

- Powiesimy je tutaj. To najbardziej odpowiednie miejsce, kochanie. Nigdy się z nimi nie rozstaniemy i jestem pewien, że jeśli nie będziemy mieli syna, Idona pokocha je tak jak ja.

- Ależ oczywiście - odparła matka. - Wian też, że jeśli będzie miała brata, zrozumie, że dom stanie się jego własnością. Zamieszka tu, tak jak jego przodkowie od pięciu pokoleń. Na pewno będzie równie przystojny i atrakcyjny, jak jego ojciec.

Sir Richard Overton roześmiał się.

Choć Idona miała wtedy zaledwie osiem lat, zapamiętała, jak ojciec objął i ucałował matkę.

Wydawało jej się wtedy, że pokój jest pełen słońca. Byli ze sobą tacy szczęśliwi.

Przemknęło jej przez myśl, że gdyby była bardziej inteligentna, nie pokazałaby tego pokoju panu Law-sonowi. Mogłaby wynieść wszystkie rzeczy po kryjomu, tak aby nigdy nie dostały się w ręce markiza.

Powiedziała sobie jednak, że pochodzi z rodu Overtonów i własna duma nie pozwoliłaby jej kraść. Od urodzenia wiedziała, że dług karciany jest długiem honoru i żaden dżentelmen nie próbowałby nawet uniknąć płatności.

Pokazała panu Lawsonowi dwa inne pokoje, których nigdy nie używano, a następnie poprowadziła go do drzwi frontowych, gdzie ujrzała czekającą na niego karetę zaprzęzoną w dwa konie. Na koźle siedziało dwóch stangretów w liberii.

Wiedziała, że na wypolerowanych guzikach zdobiących ich płaszcze umieszczony jest herb markiza Wrox ham. Czuła, że cała drży, tak jakby ktoś położył na jej sercu lodowatą dłoń.

Mimo wewnętrznego niepokoju udało jej się powiedzieć opanowanym głosem:

- Do widzenia, panie Lawson.

- Do widzenia, panno Overton - odrzekł. - Czy wolno mi wyrazić mój podziw dla pani odwagi i umiejętności panowania nad sobą? Bardzo żałuję, że nie przyjechałem tu z wieścią o wygranej pani ojca.

W jego głosie brzmiała szczerłość wskazująca na to, że nieczęsto przychodziło mu mówić w taki sposób.

Zanim wszedł do karety, Idonie udało się przywołać na twarz smutny uśmiech. Potem lokaj zamknął drzwi i powóz odjechał.

Dopiero gdy ucichł stukot końskich kopyt, Idona weszła z powrotem do domu.

Zakryła twarz rękoma i zapłakała:

- O Boże, jak to się mogło stać... i co ja teraz mam począć?

Rozdział 2

Kiedy Idona wyjeżdżała z domu, świeciło jasne, wiosenne słońce. Na gałęziach pojawiały się pierwsze pączki, a pola zaczynały się zielenić. Wszystko wydało jej się niezwykle piękne - dużo ładniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Każdy dzień spędzony tutaj miał dla niej ogromną wartość, bo przecież mógł to być dzień ostatni.

Po nocach nie mogła spać, zastanawiając się, co zrobi markiz, gdy przyjedzie do swojej nowej posiadłości. Może wyrzuci ją z domu albo wyśle do jakiejś odległej wioski, gdzie nikomu nie będzie potrzebna.

Choć jej rodzice nie byli bogaci, wszyscy darzyli ich szacunkiem. Zawsze gdy przejeżdżała obok wiejskich chat, ludzie machali jej ręką na powitanie albo podbiegali, by zamienić z nią parę słów.

Minęły blisko dwa tygodnie od czasu, gdy pan Lawson poinformował ją, iż rezydencja nie należy już do Overtonów, lecz do markiza Wroxham, a ona sama jest częścią dobytku, w tak bezmyślny sposób przegranego przez ojca.

Czasami wydawało jej się, że to tylko nocny koszmar. Miała nadzieję, że w końcu obudzi się i wszystko będzie tak jak dawniej.

Chciała usłyszeć ojca, jak śmieje się z jej zabawnych powiedzonek, albo jak woła ją do siebie, by oznajmić, że wrócił do domu.

Niemal dokładnie co tydzień otrzymywała pieniądze, które uświadamiały jej, iż jest teraz tylko płatną służącą markiza, który bez wątpienia traktuje ją na równi z Adamami i nianią.

W gruncie rzeczy cała trójka była zachwycona tak regularną pensją. Choć pieniądze wystarczały ledwie na żywność i drobne oszczędności na „czarną godzinę”, wszyscy troje czuli się usatysfakcjonowani.

Nie mówili nic na temat nowej sytuacji, ale Idona wiedziała, że podobnie jak ona niepokoją się i zastanawiają nad tym, co stanie się po przyjeździe markiza.

Adamowie byli bardzo starzy i zawsze przerażała ich myśl, że będą musieli zamieszkać w przytułku. Nie mieli przecież dokąd pójść.

- Musi oddać im jedną chatę! -mówiła do siebie Idona.

Gdyby jednak Adamowie zostali bez dachu nad głową, ona i niania mogłyby się znaleźć w podobnej sytuacji. Nie śmiała nawet o tym myśleć.

Zajęła się przeglądaniem rzeczy należących kiedyś do rodziców

Tak jak się spodziewała, obydwójce przechowywali wszystkie listy, jakie kiedykolwiek do siebie napisali. Było ich strasznie dużo.

Kiedy ojciec wyjeżdżał z domu na wyścigi albo na koński targ i miało go nie być przez cały dzień, zawsze zostawiał żonie karteczkę, na której pisał jak bardzo ją kocha i że będzie liczył godziny, pragnąc jak najprędzej mieć ją znowu przy sobie.

Matka robiła to samo. Gdy ojciec jeździł konno, a ona wychodziła do wioski albo nawet do lasu, pisała liścik - na wypadek gdyby wrócił do domu i jej nie zastał.

Listy były tak wzruszające, że Idona mimo woli zaczęła je czytać. Z jednej strony nie chciała naruszać prywatności rodziców, z drugiej jednak słowa zdawały się same prosić o przeczytanie.

W innych szufladach pełno było pamiątek wspólnie spędzonych chwil: programy balów, na których częściej tańczyli ze sobą niż z innymi partnerami; pierwszy wiosenny pierwiosnek, który matka ususzyła między stronicami książki i podarowała ojcu. Były też róże, po jednej z każdego bukietu otrzymanego od męża w rocznicę ślubu.

Matka starannie opisywała kwiaty rok po roku. Z bukietów robiło się później pots-pourris, którymi pachniał cały dom.

Wszystko to było tak bardzo wzruszające, że Idona musiała co chwila wycierać łzy.

Wydawało jej się, że znowu są razem i teraz przynajmniej przez chwilę są szczęśliwi.

- Pamiętajcie o mnie! - w jej duszy rozlegał się krzyk. - Jestem sama i boję się, potrzebuję waszej pomocy!

Czasem, gdy późnym wieczorem siedziała w ciemnej bawialni, miała wrażenie, że matka jest obok niej, że z nią rozmawia, prosząc by się nie martwiła.

Wydawało jej się wtedy, że jakimś cudownym sposobem wszystko dobrze się skończy.

Takiej nocy kładła się do łóżka szczęśliwa i spała spokojnie aż do rana. Niepokój powracał jednak po przebudzeniu i znowu zaczynała zdawać sobie sprawę, że nie będzie pomyślnego zakończenia.

Myślała, że nie ma sensu żywić płonnych nadziei i rozsądniej będzie poczynić plany na przyszłość.

- Ale jak mam to zrobić? - pytała głośno w swojej dużej sypialni. Była to jedna z historycznych komnat. W przeszłości nocował tutaj książę Karol, gdy po egzekucji swojego ojca Karola i uciekał przed ścigającymi go oddziałami Cromwella.

Cóż z tego, jeśli przodkowie i duchy nie mogli jej teraz pomóc. Jadąc przez pola na Merkurym, koniu, którego zawsze uważała za swoją własność, zastanawiała się, czy w takiej sytuacji ucieczka nie byłaby najlepszym wyjściem.

Choć było to kuszące rozwiązanie, z drugiej strony daleka była od przekonania, iż łatwiej jej będzie zmierzyć się z nowym światem, w którym przyszloby jej żyć, niż z markizem. Nie

mogła też zostawić Adamów, parobka Neda ani staruszków zamieszkujących kryte słomą, drewniane chaty przy bramie. Musiała walczyć o ich los.

Co by się stało, gdyby markiz wyrzucił tych ludzi, umieszczając na ich miejsce swoich? Może przecież to samo uczynić z nią.

Idona przestraszyła się własnych myśli. Chcąc zapomnieć o wszystkim, zajęła się polerowaniem mebli, sprzątaniem pokoiów i myciem porcelany. Chciała, by na wypadek przyjazdu markiza wszystko było w porządku, aby nie mógł powiedzieć, że nie ma kto zadbać o jego nową posiadłość.

Czuła na twarzy powiew wiatru i promienie wiosennego słońca. Nadal myślała o tym, jak wspaniale byłoby pojechać gdzieś daleko, zniknąć za horyzontem i nigdy więcej tu nie wracać.

Mogłaby uciec od wszystkich problemów: ostrych słów, które będzie musiała powiedzieć, a także od strachu przed człowiekiem, którego, zgodnie z prawem, była własnością.

- Nie wierzę! To nie może być prawdą! - powtarzała bez końca, aż własne słowa znudziły ją.

Wiedziała, że pan Lawson na pewno nie kłamał. Poza tym chodziło o dług honoru. W jej żyłach płynęła „błękitna krew” Overtonów, a nikt z tego rodu nie uchylałby się od spłacenia takiego długu.

Zdała sobie sprawę, że podąży w stronę swego ukochanego lasu. Ostatnio rzadko miała czas, żeby tu przyjeżdżać.

Nazywano go „Lasem Łowieckim”. Zajmował ogromny obszar, a przez jego środek prowadziła droga.

Do tego lasu zmierzali myśliwi, gdy tylko zaczynał się sezon polowań. Idona przypomniła sobie słowa ojca:

- Jeśli nigdzie nie będzie lisów, to na pewno znajdziemy jedną albo dwie sztuki w „Łowieckim”.

Kochała to miejsce szczególnie na wiosnę, gdy pod drzewami pojawiały się pierwiosnki, a z poszycia wychylały swoje główki zawilce i pierwsze niebieskie przyłaszczki. Wiedziała, że już wkrótce te maleńkie kwiaty utworzą piękny, jasnobłękitny kobierzec, gęstszy niż w jakimkolwiek innym miejscu posiadłości.

Ponieważ nie było tu teraz gajowych, Idona spodziewała się, że ujrzy na drzewach ukochane ptaki, a także rude wiewiórki, które będą spoglądały na nią i konia, który stąpa po pokrytej mchem ziemi.

Rozmyślając nad tym, co znajdzie w „Lesie Łowieckim”, przynagliła Merkurego. Kiedy jednak dotarła do ścieżki prowadzącej między starymi drzewami, gwałtownie się zatrzymała.

Przed sobą, z drugiej strony lasu, dostrzegła cztery konie.

Przyglądała się im zdumiona, zastanawiając się do kogo należą i skąd się tutaj

Nikt ich nie pilnował. Dwa przywiązane były za uzdę do zwałonego drzewa, pozostałe dwa skubały trawę, nie wykazując zamiaru ucieczki.

Idona przyglądała się im uważnie, a do głowy przychodziły jej najróżniejsze powody, dla których mogły się tu znaleźć. Cóż, jeśli żaden z nich nie wydawał się prawdopodobny?

Było zbyt wcześnie na kłusowników, którzy zresztą nigdy nie używali koni. Ponieważ ojciec nie miał pieniędzy, aby zatrudnić gajowych, kłusownictwo w ostatnim czasie bardzo się nasiliło.

Pomyślała, że konie mogą należeć do jakichś przybyszów z innej części hrabstwa. Być może weszli do lasu, aby sprawdzić, jaki rodzaj ptactwa można tu znaleźć, albo też, nie pytając o pozwolenie, chcieli ustrzelić kilka zajęcy.

- Bez względu na to, co tutaj robią - pomyślała - muszę ich zawrócić. Nie mają prawa płoszyć ptaków wijących gniazda. Gdyby tata żył, coś takiego na pewno by go rozgniewało.

Nie chciała jednak od razu pytać o wyjaśnienia.

Pojechała powoli skrajem lasu, po czym zsiadła z konia i przywiązała go za uzdę do drzewa.

Popatrzył na nią z wyrzutem, gdyż oboje dobrze wiedzieli, że przybiegłby do niej na pierwsze zawołanie.

Idona nie chciała jednak, by obcy dostrzegli ją. Wolała najpierw dowiedzieć się kim są i dlatego postanowiła ukryć Merkurego za gęstymi krzewami rododendronu.

Weszła do zagajnika i zaczęła cicho skradać się między drzewami. Wchodziła coraz głębiej w las.

Panowała zupełna cisza i nie widać było ani śladu intruzów.

Przeszedłszy znaczny odcinek drogi, Idona pomyślała, że przybysze musieli odjechać, gdy ona przywiązywała konia.

Nagle usłyszała ludzki głos i raptownie przystanęła.

Zdała sobie sprawę, że odgłosy dochodzą albo z przodu, z drogi biegnącej środkiem lasu, albo gdzieś z bliska.

Był to bez wątpienia męski głos. Gdy wsłuchała się uważnie, usłyszała odpowiedź drugiego mężczyzny.

Posuwała się do przodu próbując zgadnąć, co ci ludzie tutaj robią. Wewnętrzne przecucie mówiło jej, że nie powinna dać się zobaczyć.

Kryjąc się między krzewami i za pniami drzew, podeszła nieco bliżej. Wtedy znowu usłyszała głosy, tylko że teraz były one bardziej przytłumione - jakby dobiegały z daleka.

Chwilę później rozległy się czyjeś słowa. Dobiegły z tak bliska, że Idona wzdrygnęła się na ich dźwięk. Ten człowiek musiał być kilka kroków przed nią.

Ostrożnie rozejrzała się i dostrzegła drogę, nad którą z powodu suszy unosił się kurz. Rosnące po obydwu stronach drzewa rzucały cień.

Znowu usłyszała słowa mężczyzny, stojącego tuż przed nią:

- To świetny sposób, żeby rzucić pierwszą parę na kolana.

- Nie chcemy uszkodzić pozostałych - odparł inny mężczyzna. - Może im się stać coś złego, jak pierwsze dwa źle upadną. Będą cztery, i to na pewno lepsze od naszych.

Człowiek, do którego kierował te słowa, roześmiał się.

- No jasne! I podobno jakaś cacy kobitka będzie miała na sobie kilka drogich świecidełek. Chciałbym się nimi zaopiekować.

- Zaopiekować, ha! - wykrzyknął pierwszy mężczyzna. -Dzielimy się robotą - dzielimy się łupem, żebyś nie zapomniał!

Idona wstrzymała oddech. Po tym, co usłyszała i dostrzegła poprzez liście, wiedziała już dokładnie, o co chodzi.

Dwaj mężczyźni, którzy rozmawiali ze sobą, byli rozbójnikami. Po drugiej stronie czekali dwaj inni.

Przygotowywali linę, mocując ją do drzew po obu stronach drogi. Gdy zbliży się powóz, w ostatniej chwili uniosą linę do góry.

Pierwsza para koni zapłącze się i upadnie na ziemię. Niewątpliwie poranią sobie kolana, a być może nawet połamią nogi.

Pozostałe dwa konie z zaprzęgu prawdopodobnie ujdą cało, tak jak powiedział jeden z rozbójników, doznają jedynie szoku i będą trochę poturbowane.

Była to sprytna sztuczka, o której Idona słyszała już wcześniej. Stosowano ją w różnych częściach kraju.

Rozbójnicy wybrali doskonałe miejsce dla swojej zbrodni. Droga była tu wąska i z obydwu stron osłonięta drzewami.

Ofiary nie mają dużych szans na odparcie niespodziewanego ataku czterech napastników.

Bardzo ostrożnie, stąpając cicho, tak żeby nikt jej nie usłyszał, Idona wycofała się tą samą drogą, którą przyszła.

Wracając zastanawiała się, gdzie powinna udać się po pomoc.

Podróżni na tej drodze pojawiali się niezwykle rzadko. Korzystali z niej głównie mieszkańcy pobliskich miejscowości, nic zatem dziwnego, że Idonę zaskoczyły słowa rozbójnika mówiącego o klejnotach jakiejś kobiety.

Nie przypominała sobie żadnej znajomej rodziców, która mogłaby przejeżdżać tędy w środku dnia obwieszona klejnotami.

Pomyślała, że złodzieje czekają pewnie na kogoś z Londynu.

Dosiadła Merkurego, który nadal spoglądał na nią z wyrzutem, gdyż podczas jej nieobecności nie mógł posilić się niczym oprócz trawy rosnącej pod jego kopytami.

Objechała las dookoła. Minęła konie rozbójników pasące się po drugiej stronie pola i ruszyła dalej.

Wiedziała, że podróżni, na których czekają, z pewnością przyjadą z północy.

Zastanawiała się, czy stanąć gdzieś dalej przy drodze i ostrzec ich przed opryszkami, gdy nagle przypomniał jej się „Czerwony Kur”.

Była to gospoda leżąca poza granicami posiadłości ojca, w wiosce na skraju „Lasu Łowieckiego”, przy drodze prowadzącej do dworu Overtonów.

Właściciela, Jima Barleya, znała od dziecka.

Bywała tam często z matką i ojcem. Jeśli po długim polowaniu zostawało im trochę czasu, przed powrotem do domu zaglądali do gospody.

Ojciec zamawiał kufel angielskiego piwa lub grzanego jabłecznika, matce Jim Barley przynosił filiżankę herbaty, a Idonie szklaneczkę mleka.

Czasami dostawali też domowe słodkie bułeczki prosto z pieca albo kawałki pysznego ciasta z owocami. Przypomniawszy sobie to wszystko, Idona pomyślała, że Jim Barley jest człowiekiem, który może jej pomóc. Wiedziała, że musi powiedzieć mu o zasadzce przygotowanej przez rozbójników.

Przynagliła Merkurego i dziesięć minut później wjechała na wybrukowane podwórko starej gospody, która - podobnie jak dwór Overtonów - pomalowana była czarną i białą farbą.

Dach kryty słomą wymagał reperacji, jednak okna błyszcząły czystością, a w stajni, jak domyślała się Idona, leżała świeża wyściółka.

Gdy wjechała na podwórko, ujrzała przed sobą bogato zdobiony powóz.

Był dużo bardziej elegancki i nowoczesny niż te, które widziała dotychczas i na pewno miał doskonale resory.

W zaprzęgu stały cztery doskonale dobrane, rasowe konie.

Dobrze wiedziała, że jeśli nic nie uczyni, na drodze dojdzie do tragedii. Konie w szaleńczym pędzie zaplątały się w linę, a pierwsza para zostanie tak ciężko pokaleczona, że zwierzęta trzeba będzie uśmiercić.

Ponieważ kochała konie, nie potrafiła znieść myśli, że coś takiego mogłoby się zdarzyć. Pospiesznie zsiadła z Merkurego i zaprowadziła go do stajni.

Przy drzwiach było wolne miejsce, więc zostawiła go tam i wróciła na podwórko. Nie mogła się zdecydować, komu najpierw powiedzieć o zasadzce: służącemu czy właścicielowi powozu.

Przy tylnych drzwiach zobaczyła stangreta, który rozmawiał z ładną dziewczyną w czepku. Mogła to być córka Jima Barleya.

Nie chciała im przeszkadzać, a poza tym obawiała się, iż stangret nie uwierzy jej słowom.

Postanowiła wejść do środka. Znalazła się w salce, gdzie zimną w palenisku żarzyły się ogromne kłody drewna.

Teraz nie było tu ognia, a ponieważ nie dostrzegła nikogo, domyśliła się, że właściciel powozu gości w prywatnym saloniku.

Wiedziała, że Jim Barley jest bardzo dumny ze swego salonu. Była to rzecz niespotykana w małych, przydrożnych gospodach.

Tak naprawdę ten niewielki pokój na początku miał służyć jako gabinet albo spiżarnia.

Później wbudowano tu półokrągłe okno z widokiem na ogród. Wyposażenie saloniku stanowiły dwa fotele oraz duży stół.

Jim Barley chwalił się wszystkim, że może z fasonem przyjmować w swoich progach arystokrację.

Idona zastanawiała się, czy nie powinna najpierw porozmawiać z właścicielem gospody w kuchni. Potem zdecydowała jednak, że uda się wąskim korytarzem prosto do salonu.

Gdy stanęła u progu pokoju, nie usłyszała żadnych głosów. Pomyślała, że może nie miała racji spodziewając się, że znajdzie tu gości. Otworzyła drzwi bez pukania i zajrzała do środka.

Przez chwilę wydawało jej się, że salon jest pusty, jednak gdy rozejrzała się dokładniej, spostrzegła, że tuż obok, przy oknie stoi mężczyzna wpatrzony w ogród.

Odwrócił się, kiedy weszła do pokoju. Od razu wiedziała, że musi to być właściciel powozu.

Był równie dostojny jak jego kareta.

Nigdy nie zdawała sobie sprawy, że może istnieć ktoś tak przystojny, elegancki, a jednocześnie onieśmielająco męski.

Jego ciemne włosy były w lekkim nieładzie. Wiedziała od ojca, że ten styl uczesania wprowadził książę regent.

Śnieżnobiały fular, zawiązany pod szyją w dziwny, skomplikowany węzeł, nie różnił się kolorem od kołnierzyka koszuli, który sięgał aż do podbródka mężczyzny.

Miał na sobie białe bryczesy i wysokie buty, wypolerowane tak dokładnie, że odbijał się w nich cały pokój.

Spojrząwszy na jego twarz, lekko westchnęła.

Oczy wyrażały znudzenie i pogardę. Nigdy nie wyobrażała sobie, że ktoś o takim spojrzeniu może być jednocześnie tak niesamowicie przystojny.

Spostrzegła wyraźne linie biegnące od nosa do kącików ust, nadające jego twarzy wyraz cynizmu. Pomyślała, że tak musiał wyglądać Lucyfer, kiedy został strącony do piekła.

Zanim zdążyła wyobrazić sobie coś jeszcze, mężczyzna ostrym tonem zapytał:

- Czego pani chce?

Idona, lekko oszołomiona jego wyglądem, po chwili przypomniała sobie, po co przyszła.

Poczuła zagrożenie, dlatego lekko uniosła brodę i spytała:

- Sir, czy jest pan właścicielem powozu, który stoi na zewnątrz?

- Tak.

- W takim razie muszę pana ostrzec.

- Ostrzec? - zapytał ostrym głosem mężczyzna. - Co pani przez to rozumie?

- Gdy opuści pan to miejsce, uda się pan, jak przypuszczam, na południe. Zaraz za wioską droga będzie biegła przez las, gdzie czekają na pana czterej rozbójnicy.

- Rozbójnicy? - zdziwił się mężczyzna. - Skąd może pani o tym wiedzieć, a jeśli rzeczywiście tak jest, to dlaczego uważa pani, że czekają na mnie?

Mówił wolno, nie zmieniając tonu.

Przeciągał wyrazy, zgodnie z ostatnią modą. Ten sposób mówienia sprawiał, iż w jego słowach wyczuwało się taką samą pogardę jak w spojrzeniu.

Idona miała wrażenie, iż mężczyzna nie wierzy jej słowom i wydaje mu się, że przyszła tu z jakimś podstępym zamiarem. Przez chwilę żałowała, że przeszkodziła temu wspaniałemu dżentelmenowi. Mogłaby przecież zostawić go tutaj i nie przejmować się jego dalszym losem.

Wtedy przypomniała sobie, że ucierpią na tym konie. Powiedziała więc szybko:

- Rozbójnicy przywiązali linę po obu stronach drogi. Gdy pański powóz zbliży się, uniosą ją, a pierwsza para koni upadnie na kolana.

- Stara sztuczka - zauważył mężczyzna. - Z drugiej strony, to może nieźle wyglądać.

- Pomyślałam sobie, że powinien się pan dowiedzieć o tej zasadzce — stwierdziła Idona.

- A za pani życzliwą informację powinienem ją zapewne wynagrodzić - zauważył.

Przez chwilę Idona nie wiedziała, co miał na myśli.

Dopiero gdy wyciągnął sakiewkę, oświadczyła z godnością:

- Nie, nie, ależ oczywiście, że nie! Przyszłam tu wyłącznie dlatego, iż czułam, że to mój obowiązek. Nie miałam żadnych innych zamiarów, mogę pana zapewnić.

- Jednocześnie, przydałoby się pani kilka ładnych wstążek do włosów, a do tego nowa sukienka, żeby olśnić tutejszych piękniśców.

Zrozumiała, że ten człowiek z niej szydzi. Rzuciła więc z gniewem:

- Wydaje mi się, że koniecznie chce mi pan ubliżyć. Będę musiała skończyć tę rozmowę. Dygnęła i odwróciła się do drzwi. Pomyślała, że powinna była ukłonić się już wtedy, gdy weszła do pokoju.

Nie zdążyła zrobić nawet kroku, gdy mężczyzna rękoma przytrzymał drzwi. Nie spodziewała się po nim tak zwinnych ruchów.

- Nie tak prędko! - oświadczył. — Powiedziała mi pani o rozbójnikach, ale nie dowiedziałem się, gdzie będą na mnie czekać.

- Około ćwierć mili stąd, na południe - odparła Idona. - A teraz proszę mnie wypuścić.

Mężczyzna zrobił dwa kroki i stanął oparty plecami o drzwi.

- Nie ma pośpiechu - rzekł - a poza tym, to dziwne, że ładna dziewczyna mieszkająca w tak zapadłej dziurze nie potrzebuje żadnych ozdóbek, które mogłyby dodać jej urody.

Idona wiedziała, że z niej drwi. Jednocześnie uświadomiła sobie, jak musi wyglądać w oczach tego wystrojonego dżentelmena.

Ponieważ wybrała się na przejażdżkę dla przyjemności, nie nałożyła jeździeckiej czapeczki, spięła jedynie włosy z tyłu głowy.

Jej włosy kręciły się naturalnie, a ponieważ w czasie jazdy wiatr rozplątał drobne pasma wokół czoła, teraz jeszcze bardziej przypominała boginię wiosny.

Miała na sobie starą, białą bluzkę starannie pocerowaną przez nianię. Była czysta, ale trochę za mała, dlatego lekko opinała się na piersiach.

Również zielona, jeździecka spódnica, do której dzisiaj nie założyła zakietu, już dawno zrobiła się za wąska, a poza tym przecierała się na szwach.

Idona dostrzegła, iż ten cyniczny, zblazowany mężczyzna patrzy na nią bardzo wnikliwie. Jego spojrzenie spod przymkniętych powiek odbierało jej śmiałość.

Nigdy wcześniej nie miała powodów do zażenowania. Rzadko kiedy spotykała nieznanymi i dopiero dzisiaj po raz pierwszy poczuła się skrępowana.

Chciała wydostać się z pokoju, ale mężczyzna wciąż opierał się o drzwi. Nadal próbował ją przekonać:

- Niech pani zmieni zdanie i pozwoli mi wyrazić wdzięczność, tak jak tego pragnę.

Mówiąc te słowa, wyjął pięć złotych suwerenów i podał jej pieniądze na dłoni.

- Niech pani pomyśli, co można za to kupić - zachęcał. - Nie wątpię, że gdy spotka się pani wieczorem ze swoim miejscowym wielbicielem, z dużo większym zapałem będzie wysławiał pani urodę. Sama pani zobaczy, jaki okaże się elokwentny.

- Jak już mówiłam - odparła Idona - uważam, że sposób, w jaki się pan wyraża, jest dla mnie uwłaczający! Mam tylko nadzieję, że rozbójnicy dadzą panu lekcję, którą zapamięta pan do końca życia.

Złość sprawiła, że jej ciemnoniebieskie, fiołkowe oczy zaczęły błyszczeć i choć nie zdawała sobie z tego sprawy, była teraz jeszcze piękniejsza.

- Może powinienem podziękować pani inaczej - powiedział.

Wyprostował ramiona i ku zaskoczeniu Idony przyciągnął ją do siebie.

Zrozumiała, że chce ją pocałować. Wystraszyła się i zaczęła się bronić. Przez zaskoczenie udało jej się wyzwolić z jego objęcia i uciec na drugą stronę pokoju.

Gdy stanęła pod ścianą, spostrzegła, że na stole leżą puste naczynia i kieliszki po skończonym posiłku.

Mężczyzna nie poruszył się. Stała wpatrując się w niego znużonym wzrokiem. Czując, że stanowi dla niej zagrożenie, zastanawiała się, jak stąd uciec.

Miał w sobie jakiś niepojęty magnetyzm, którym przyciągał ją do siebie.

Przestraszona przyłożyła ręce do piersi i rozchyliła usta, nie mogąc złapać oddechu, a wtedy otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczył Jim Barley z rachunkiem za posiłek.

Mężczyzna zmuszony był odsunąć się od drzwi. Wykorzystując ten moment, Idona błyskawicznie przebiegła przez pokój, a potem przez wąski korytarz wydostała się na podwórko.

Minęła powóz, otworzyła stajnię i boks, w którym zostawiła Merkurego.

Serce biło jej tak mocno, że nie mogła złapać oddechu. Odciągnęła konia ad żłobu, chcąc wyprowadzić go na zewnątrz.

Nagle ktoś stanął w drzwiach. Zobaczyła tego samego mężczyznę, z którym przed chwilą zmagą się w salonie. Spojrzała na niego przerażonym wzrokiem. Jej twarz zrobiła się blada.

Przez moment oboje milczeli. Potem on zaczął mówić, tak jak wcześniej przeciągając wyrazy. Zmienił jednak ton:

- Proszę wybaczyć! Wydaje mi się, że to co się przed chwilą stało, było zupełnie niepotrzebne.

Nie odpowiadając, Idona spojrzała na Merkurego. Po chwili mężczyzna kontynuował:

- Chcę tylko błagać, by zechciała pani być tak łaskawa i pokazać mi miejsce, gdzie czekają ci grabieżcy. Wydaje mi się, że nie powinna im ujść na sucho tak nikczemna zbrodnia. Mogą przecież dalej napadać na podróżnych takich jak ja.

- Ja... Powiedziałam panu gdzie czekają, sir.

Chciała okazać chłód, ale jej głos brzmiał młodzieńczo i słysząc było w nim drżenie.

- Wie pani równie dobrze jak ja, że niemożliwe będzie schwytanie ich bez pani pomocy. Jeden niewłaściwy ruch i mogliby uciec, żeby następnego dnia przycząić się na jakichś nic nie podejrzewających podróżnych, których tym razem nie będzie miał kto ostrzec.

- Nie wiem... co ja tu mogę pomóc.

- Chcę, żeby była pani dla mnie przewodnikiem i inspiracją.

Czuła w jego głosie szyderstwo, chociaż teraz nie używał już tak pogardliwego tonu jak wcześniej.

Ponieważ trudno jej było odmówić, postanowiła pokazać mu miejsce, w którym czekają rozbójnicy, a następnie ulotnić się i więcej nie angażować w tę sprawę.

- Oczywiście, sir - rzekła - a więc, czy mogę zasugerować, żeby nie zabierał pan powozu, którego oni oczekują?

- Ależ nie miałem takiego zamiaru! - odparł mężczyzna. - Proszę zaczekać tutaj, ja tymczasem powiem moim ludziom, że pojedziemy konno.

Wyszedł i wtedy Idona pomyślała, że postępuje bardzo głupio.

Wiedziała, że nie powinna była dać się wciągnąć w tę aferę. Teraz jednak, jeśli będzie miała na tyle rozsądku, odjedzie, zostawiając tego niewdzięcznego dżentelmena własnemu losowi.

Właśnie zastanawiała się, jak to zrobić, gdy ujrzała go ponownie.

- Pojedziemy na koniach - oświadczył. - Pani pokaże nam w lesie dogodne miejsce, z którego moglibyśmy zaatakować ich od tyłu. Oczywiście pani nie będzie brała udziału w naszej akcji.

Zamilkł, jakby oczekiwał, że ona się odezwie, ale ponieważ nic nie mówiła, kontynuował:

- Choć to mało prawdopodobne, może się pani znaleźć w niebezpieczeństwie. Otrzyma pani broń, na wypadek gdyby coś pani groziło. Czy miała pani kiedyś w ręce pistolet?

- Tak, umiem strzelać - odparła Idona.

Ojciec zaczął zabierać ją na polowania, gdy tylko stwierdził, że jego córka ma na tyle siły, aby unieść broń.

Wiedziała, że towarzysząc ojcu może mu w ten sposób wynagrodzić brak syna.

W deszcz i wiatr wychodziła na ziemniaczane pola w poszukiwaniu przepiórek albo przedzierała się przez las tropiąc kłusowników.

Tak naprawdę nie cierpiała zabijać, jednak będąc z ojcem, pomagając mu, zapominała o wszystkim.

Teraz, biorąc do ręki mały, zgrabny pistolet, zapytała:

- Czy jest naładowany?
- Oczywiście! I niech pani będzie ostrożna! Nie chcemy, żeby zdarzył się jakiś wypadek.
- Może pan być o mnie spokojny.

Powiedziała to z dumą w głosie, zaraz jednak pożałowała tych słów. W jego oczach widać było rozbawienie, a usta wykrzywiły się w lekkim uśmiechu.

Znowu naigrawał się z niej. Przez chwilę poczuła nienawiść. Jeśli dopadliby go rozbójnicy, miałby to, na co zasłużył.

Czuła podświadomie, że ten człowiek zawsze wygrywał. Nie wiedziała dlaczego, ale wydawało jej się, że zwycięża w każdej walce i bez względu na przeciwności osiąga to, co chce.

W chwili gdy zamierzali opuścić stajnię, w drzwiach rozległ się hałas.

Idona ujrzała przed sobą tak piękne zjawisko, że nie chciało jej się wierzyć własnym oczom.

„Zjawa” ubrana była w suknię z różowej satyny i taftową pelisę.

Na głowie miała kapelusik przybrany piórami w tym samym kolorze co suknia, a na jej szyi błyszczał naszyjnik z pereł i diamentów.

- Co się dzieje? Dlaczego tu przyszedłeś? - pytała „Zjawa”. - Mieliśmy zaraz wyjechać.
- Mieliśmy, moja droga, ale niestety muszę prosić, byś poczekała tutaj, podczas gdy ja zajmę się czymś, co przeszkadza nam w dalszej podróży.

„Zjawa” zamilkła, lecz po chwili, dostrzegłszy Idonę, zapytała ostrzejszym tonem:

- Czy to ona stoi nam na drodze? Nie mam zamiaru tego tolerować! Chcę wiedzieć, co tu robiliście!
- Kochana Clarice - odrzekł znudzonym głosem mężczyzna - nie rób z siebie większego głuptaska, niż jesteś.
- Nie próbuj mnie oszukiwać! - krzyknęła z wściekłością. - Jestem pewna, że flirtujesz z tą kobietą i jeśli natychmiast stąd nie wyjdiesz, wydrapię jej oczy!

Zrobiła krok w stronę Idony, która nagle uświadomiła sobie, że „Zjawa”, choć piękna, jest również bardzo prostacka.

Miała piskliwy głos i prawdopodobnie braki w wykształceniu. Choć jej twarz zachwycała urodą, zawdzięczała to głównie różowi na policzkach, pomadce na ustach i umiejętnie przyciemnionym rzęsom.

- Jak ty się zachowujesz! - wykrzyknął ostrym głosem mężczyzna. - Kobieta, której ubliżasz, przybyła tu, by uratować twoją biżuterię.

- Moje klejnoty? - płaczliwym głosem spytała „Zjawa”.

- Twoje klejnoty - powtórzył mężczyzna. - Chodzi o to, że na drodze czeka czterech złodziei, którzy pragną ci je zabrać. Tak więc przestań mnie męczyć. Wracaj do gospody, zamów sobie kieliszek wina i poczekaj, aż oczyszczę drogę.

- Czy naprawdę ktoś chciałby zabrać mi naszyjnik? - zapytała „Zjawa”. - Moje perły, pierścionki, moją szkatułkę z klejnotami?

- Wszystko przepadnie, jeśli nie zaczniesz się właściwie zachowywać.

- To ty powinieneś się właściwie zachowywać - odparła „Zjawa”. - Wydaje mi się jednak, że mówisz prawdę.

- Wracaj do gospody - powtórzył mężczyzna - chya że chcesz stracić nie tylko klejnoty, ale również życie!

„Zjawa” wydała z siebie okrzyk, po czym, uniósłszy suknię, wybiegła ze stajni prosto do gospody.

Mężczyzna nie wydawał się poruszony tą wymianą zdań, która u Idony wywołała przyspieszony oddech. Powiedział tylko:

- Chodźmy! Konie są już na pewno gotowe. Mam nadzieję, że zechce pani wskazać nam drogę.

Opuścił stajnię. Gdy Idona wyszła na zewnątrz, zobaczyła, jak stangret z niezwykłą sprawnością wyprzega konie, a potem szybko je siodła. Wierzchowce były gotowe.

Dżentelmen wskoczył na siodło, mocniej wcisnął kapelusz na głowę i zrobił ręką ruch, którym dał znać Idonie, by jechała przodem. Jego gest trudno było uznać za prośbę.

Skierowała Merkurego na wąską ścieżkę biegnącą równoległe do drogi, a potem skręciła w stronę pola objeżdżając las dookoła, tak jak zrobiła to wcześniej. Dojechali do miejsca, z którego widać było cztery konie. Podobnie jak przedtem, dwa z nich były przywiązane do drzewa, a dwa pały się obok.

Po raz pierwszy od chwili, gdy opuścili gospodę, dżentelmen podjechał do niej i rozpoczął rozmowę:

- Proszę powiedzieć, gdzie dokładnie są ci ludzie.

Idona wyjaśniła mu, w jaki sposób niezauważenie mogą się do nich zbliżyć. Chciała podejść ich z dwóch stron.

Nie wiedziała tylko, co zrobić z dwoma mężczyznami po przeciwnej stronie drogi.

Była pewna, że dżentelmen dobrze wszystko przemyślał, zanim podjechał do starszego stangreta, który podążał za nimi.

Wyciągnął zegarek z kieszeni kamizelki i powiedział:

- Masz cztery minuty, Goodwin, żeby tam dotrzeć. Na pewno poradzisz sobie z dwoma facetami, jeśli zajdziesz ich od tyłu. Gdy tylko pozbędę się tych dwóch po mojej stronie, dołączę do ciebie.

- Świetnie...

- Nic nie mów. Zrób tylko to, co ci kazałem.

Idona widziała, jak stangret zacisnął usta i zaraz posłusznie odjechał we wskazanym kierunku.

Zniknął im z oczu, lecz Idona wiedziała, że w tamtym miejscu będzie mógł przeciąć drogę tak, by złodzieje go nie dostrzegli. Później bez trudu, cicho podejdzie ich od tyłu, a oni nic nie zauważą, gdyż cały czas będą czekali na powóz, który stoi teraz nieruchomo na podwórku przed gospodą.

Dżentelmen nie odzywał się, więc Idona również nic nie mówiła. Zdawała sobie sprawę, że w takiej ciszy głos niesie się bardzo daleko.

Po chwili dżentelmen ponownie wyjął zegarek z kieszeni, skinieniem głowy sygnalizując drugiemu służącemu, by skierował się w stronę lasu. Rozłączyli się. Jeden pojechał na prawo od pasących się koni, drugi na lewo.

Idona widziała, jak zeskoczyli z wierzchowców i zniknęli między drzewami.

Po chwili stwierdziła, że nie potrafi beczynn timer czekać i zastanawiać się, co dzieje się w lesie. Podjechała bliżej, wiedząc, że rozbójnicy będą bardzo zaaferowani czekaniem na moment, w którym należało unieść linę. Na pewno nie zwrócą uwagi na nic innego.

Dotarła do miejsca, w którym stały konie, po czym zsiadła z wierzchowca i odprowadziła go na bok.

Merkury spuścił łeb i zaczął skubać trawę. Weszła do lasu, trzymając w ręce pistolet i nasłuchując pierwszego wystrzału. Wiedziała, że odgłos nadejdzie z tej strony, w którą udał się stangret.

Ponieważ panowała cisza, zaczęła się obawiać, że coś jest nie w porządku. Wtedy usłyszała głośny wystrzał, a zaraz po nim następny.

W chwilę potem dostrzegła dżentelmena zbliżającego się do dwóch rozbójników, którzy w przerażeniu zerwali się na nogi.

Mężczyzna zranił jednego w udo. Złodziej upadł i wtedy stangret postrzelił drugiego. Ten również z krzykiem zwałił się na ziemię.

Dżentelmen podszedł do leżących na ziemi rozbójników i mierząc w nich rozkazał:

- Rzucić broń!

Jeden z mężczyzn zdążył już to zrobić, drugi natomiast usłyszawszy polecenie, cisnął pistolet na drogę.

- Zostaniecie tutaj - oświadczył dżentelmen - aż przyślę po was wojskowych. Potem za wasze zbrodnie zawieście na szubienicy. Zasłużyliście sobie na to!

Gdy to mówił, Idona, stojąca w pobliżu, ujrzała po drugiej stronie drogi innego rozbójnika, który musiał upaść po strzale stangreta. Teraz leżał na ziemi, mierząc prosto w dżentelmena.

Wiedząc, że w przeciągu sekundy ten człowiek naciśnie spust, Idona bez zastanowienia wypaliła z pistoletu, który trzymała w dłoni.

Nastąpiły dwa wystrzały. Zraniony rozbójnik osunął się, a jego kula trafiła w kamień po drugiej stronie drogi. Brakowało metra, a dosięgłaby dżentelmena.

Mężczyzna zdał sobie sprawę z tego, co się stało i szybko odwrócił się w jej stronę.

- Kazałem pani trzymać się z daleka! - rzekł do Idony.

Za chwilę, wyjmując dymiący pistolet z jej dłoni, dodał:

- Jednocześnie jestem pani bardzo wdzięczny. Uratowała mi pani życie.

Rozdział 3

Idona nie odpowiedziała, więc mówił dalej:

- Postaram się o to, żeby ci przestępcy zostali porządnie związani. Potem pani pokaże mi drogę do najbliższego sądu albo, jeszcze lepiej, do namiestnika królewskiego.

Podszedł do rozbójnika, którego postrzelił w nogę. Mężczyzna przeklinał głośno, podczas gdy stangret krępował mu dłoń.

Idona wahała się przez moment. Pomyślała, że nie ma ochoty spotkać się z namiestnikiem. Nie przyjechał na pogrzeb ojca. Mógł co prawda o nim nie wiedzieć, gdyż wszystko odbyło się bez rozgłosu. A jednak powinien był przynajmniej przysłać kondolencje.

Właściwie nigdy nie lubiła namiestnika. Zawsze wydawało jej się, że stroni od ojca. Teraz nie miała zamiaru tłumaczyć się przed nim, jak została wplątana w aferę z rozbójnikami.

Odwróciła się i szybko, przemykając między drzewami, pobiegła do miejsca, w którym zostawiła Merkurego.

Gdy zbliżyła się, koń uniósł głowę. Wskoczyła szybko na siodło i nie oglądając się za siebie pomknęła galopem.

Dopiero gdy oddaliła się na tyle, żeby zniknąć z oczu nieznanemu dzentelmenowi i jego sługom, uświadomiła sobie, że serce wali jej w piersi i nie może złapać oddechu.

Wiedziała, że są to objawy szoku wywołanego niedawną strzelaniną. Męczyła ją też świadomość tego, iż zabiła człowieka.

Po plecach przebiegły jej ciarki, gdy pomyślała o swoim czynie. Ona, która nie lubiła strzelać do ptaków i zajęcy, zabiła człowieka. Jak mogła to zrobić?

Pomyślała jednak, że gdyby wtedy nie pociągnęła za spust, nieznanemu mężczyźnie leżałby teraz martwy. To, że wcześniej okazał się niegrzeczny i wzbudził w niej ogromną niechęć, nie miało w tej chwili znaczenia.

Przecież rozbójnicy mogli uciec i następnego dnia zacząć się na innych, niczego nieświadomych podróżnych.

Tak czy inaczej, Idona nie chciała myśleć o tym, co czeka tych ludzi.

W krótkim czasie dotarła do domu. Gdy zobaczyła przed sobą czarno-białe ściany rezydencji otoczone dookoła drzewami, poczuła się bezpieczna. Wydarzenia dzisiejszego dnia stały się nagle bardzo odległe.

Wprowadziła Merkurego do stajni. Wiesząc na ścianie uzdę i siodło, słyszała, jak inne konie poruszają się w swoich boksach.

Pomyślała, że należałoby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku i czy Len pamiętał o wodzie i pożywieniu dla nich.

Ku swojemu zdziwieniu, w ostatnich dwóch boksach dostrzegła dwa zupełnie obce rumaki.

Przyjrzała się im dokładnie, stwierdzając, że to wspaniałe, rasowe zwierzęta, dużo lepsze od tych, które posiadał jej ojciec. Próbowwała zgadnąć, skąd się tu wzięły i do kogo mogą należeć.

Nagle poczuła dziwną obawę i szybko wybiegła ze stajni. Przecięła wybrukowane kamieniami podwórko i weszła do domu przez boczne kuchenne drzwi.

Przemknęła przez długi, wyłożony kamiennymi płytami korytarz. Po obydwu stronach znajdowały się drzwi do różnych pomieszczeń, takich jak spiżarnia, mleczarnia czy zmywalnia naczyń. Wykorzystywano je kiedyś w przeszłości, ale teraz stały zamknięte, gdyż nie miał kto utrzymywać w nich porządku.

Wbiegła do kuchni i stanęła jak wryta.

Koło pieca krzątał się nieznajomy mężczyzna, a niania siedziała przy stole i wesoło z nim rozmawiała.

Idona przez chwilę nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Tymczasem niania podniosła się z krzesła, mówiąc:

- Nareszcie! Cieszę się, że panienka wróciła! Martwiłam się, nie wiedziałam, gdzie panienki szukać.

- Co się stało? Czy coś jest nie tak? - spytała Idona.

Niania nic nie odpowiedziała. Podeszła do Idony i wyprowadziła ją za rękę na korytarz.

- Chcę z panienką porozmawiać - rzekła - i lepiej będzie, jak przejdziemy do drugiej części domu.

- Ale dlaczego? - nie rozumiała Idona. - I kim jest ten człowiek?

Niania nic nie odrzekła. Pociągnęła Idonę wzdłuż korytarza, a potem przez drzwi, które odcinały część budynku przeznaczoną dla służby od głównych pomieszczeń rezydencji.

Minęły jadalnię, hall, aż w końcu niania otworzyła drzwi do salonu.

Idona była tak oszołomiona, że cały czas nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Dopiero kiedy zamknęły za sobą drzwi, spytała:

- Co to wszystko ma znaczyć, nianiu? Skąd wziął się ten człowiek w kuchni i dwa konie w stajni?

Jej głos drżał, gdyż nagłe uświadomiła sobie, że to na pewno ma coś wspólnego z markizem Wroxham.

Niania najwidoczniej czytała w jej myślach, gdyż odparła:

- Niech się panienka nie martwi. Przecież spodziewaliśmy się, że wcześniej czy później jego lordowska mość zechce obejrzeć swoje włości.

Idona nabrała powietrza.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że markiz przyjedzie tu?

Niania skinęła głową.

- Dwaj jego ludzie na koniach przybyli godzinę temu.

- Dwaj? Gdzie jest ten drugi?

- Poszedł do wsi kupić coś do jedzenia. Dał mi do zrozumienia, że to co mamy w domu nie jest odpowiednie dla jego lordowskiej mości.

- Czy to znaczy, że on ma zamiar tu jeść?

- Jego lordowska mość zostanie tutaj na noc - odrzekła niania. — Towarzyszy mu dama, będą więc potrzebne dwie sypialnie.

Idonie przemknęła przez głowę straszna myśl. Spadła na nią jak grom z jasnego nieba.

Spojrzała na nianię szeroko rozwartymi oczami, po czym spytała nieswoim głosem:

- Czy powiedziałaś... że... jego lordowska mość... przyjedzie tutaj w towarzystwie... damy?

- Tak mówili ci mężczyźni - stwierdziła niania - więc posłałam Adama na górę, żeby przygotował pokój pana i sypialnię obok.

- O nie! - zaprotestowała w duchu Idona.

Wiedziała jednak, że to naturalne, iż markiz, jako nowy właściciel, będzie nocował w sypialni ojca, a towarzysząca mu dama - w pokoju matki.

Teraz miała już pewność, że ten arogancki, niekulturalny mężczyzna, którego dzisiaj poznała, jest właśnie markizem Wroxham.

Co więcej, uratowała temu człowiekowi życie.

Ponieważ chciała się upewnić, że nie wymyśliła sobie tego wszystkiego i że był to rzeczywiście niezwykły zbieg okoliczności, spytała:

- Kim są ci mężczyźni, którzy przybyli wcześniej?

- Mówią, że są służącymi jego lordowskiej mości i muszą zadbać o jego wygodę. Jeden z nich twierdzi, że jest bardzo doświadczonym kucharzem, a drugi pełni rolę lokaja podczas wyjazdów markiza.

- Coś takiego! - pomyślała Idona.

Uświadomiła sobie, że człowiek tej rangi co markiz musi podróżować w taki właśnie sposób.

Nic dziwnego, że ma specjalnych służących zapewniających mu komfort również poza domem. Zapewne, gdy zatrzymał się w gospodzie, by zjeść obiad, wysłał ich przodem, aby przygotowali wszystko na przyjazd jego i damy - przyjaciółki.

Chciała jej się krzyknąć z rozpaczy, gdy pomyślała o „Zjawie”, jej pospolitym głosem i trosce o biżuterię. Ta kobieta miała spać w pokoju jej matki!

Okazując niezwykle opanowanie, zwróciła się do niani:

- Wydaje mi się, że nie możemy zrobić nic innego, jak tylko przyjąć ich z godnością.
- Panienska musi być dla nich miła - rzekła ostrym głosem niania. - Sama panienska wie, że jeśli markiz wyrzuci ją z domu, nie będzie miała panienska dokąd pójść i to samo dotyczy nas wszystkich.

Idona cicho westchnęła, a potem odparła:

- Pójdę na górę się przebrać.
- Pomyślałam o tym - oświadczyła niania - i przygotowałam jedną z muślinowych sukni naszej pani, kupioną tuż przed jej śmiercią. Wiem, że nigdy nie chciała panienska dotykać jej rzeczy, ale wszystkie zostały zabrane z sypialni. Jeśli panienska odpowiednio się ubierze, markiz zrozumie, że ma do czynienia z prawdziwą damą i tak też będzie panienkę traktował.

Przez głowę Idony przemknęła myśl, że niania byłaby przerażona, wiedząc jak ten człowiek odnosił się do niej w gospodzie.

Z drugiej strony, zdawała sobie sprawę, że ta stara kobieta ma rację. Jeżeli chce uzyskać coś dla siebie, a tym bardziej dla ludzi, którzy byli od niej zależni, będzie musiała od razu uświadomić markizowi, iż nie jest byle kim.

Przez moment zawahała się. Pomyślała, że nie będzie umiała stanąć oko w oko z tym człowiekiem. Chciała dosiąść Merkurego, odjechać i ukryć się aż do czasu, gdy markiz opuści jej dom.

Zaraz jednak przypomniała sobie, ile emocji wywoływała ta wizyta u niani i Adamów.

- A przecież nie wolno jej było zapomnieć o starych ludziach z wioski i chłopach, którzy ufali jej ojcu, wierzyli, że zaopiekuje się nimi nawet wtedy, gdy nie będą mieli z czego płacić dzierżawy.

Wyciągnęła rękę i uścisnęła dłoń starej kobiety.

- Chodź, pomóż mi, nianiu - poprosiła. - Bardzo się boję i rzeczywiście potrzebuję, żeby suknia mamy dodała mi odwagi.

Ręce niani były bardzo zimne. Gdy szły obok siebie po schodach, Idona wiedziała, że ta kobieta boi się tak samo jak ona.

Weszła do sypialni i wtedy poraziła ją myśl, że być może noce, które przyjdzie jej spędzić w tym pokoju, są już policzone.

Nawet gdyby pozwolono jej zostać, o co modliła się każdej nocy, podczas wizyt markiza najlepsze pokoje będą oddawane gościom.

Pocieszała się myślą, że jego lordowska mość przyjeżdża tutaj tylko po to, aby obejrzeć nowy majątek. Miała nadzieję, że markiz nie uzna rezydencji Overtonów za miejsce odpowiednie dla siebie, zwłaszcza że jest właścicielem wielu innych, dużo bardziej okazałych dworów i pałaców.

Żałowała, że dokładniej nie wypytała pana Lawsona o inne posiadłości markiza, nie miała jednak wątpliwości, iż jego siedziba musi być wielka i wspaniała.

Wiedziała, że to niemożliwe, by spodobał mu się ten niepokąźny budynek, bez względu na jego wartość historyczną.

Niania pomagała Idonie zdjąć ubranie do jazdy konnej, opowiadając jednocześnie o tym, jak zaskoczył ją przyjazd służących markiza.

- Nigdy nawet nie przeszło mi przez myśl, że jego lordowska mość zechce tutaj nocować – stwierdziła niania. - Nie wiedziałam też, że można wozić ze sobą własnego kucharza.

Idona nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszała, a jednak wydało jej się, że to bardzo rozsądne rozwiązanie.

Była pewna, że w większości dworów, których właściciele nie zwracają uwagi na jakość posiłków tak bardzo jak jej ojciec, markizowi podano by co najwyżej gotowaną baraninę, żyłaste gołębie udka albo przypaloną pieczeń wołową.

- Mam tylko nadzieję - niania kończyła zdanie, którego Idona w zamyśleniu nie dosłyszała - że jeśli nawet zostanie na noc, to jutro rano stąd wyjedzie. Dobrze, że będzie z nim ta dama, bo przynajmniej nie zostaniecie ze sobą sam na sam.

Idona przez chwilę miała ochotę się roześmiać. Pomyślała, że gdyby niania ujrzała przedstawienie, jakie „Zjawa” urządziła markizowi w stajni, na pewno nie uznałaby jej za odpowiednią przyzwoitkę.

Nie wyrzekła jednak ani słowa, ciągle jeszcze mając nadzieję, że się myli i że ten niemiły dżentelmen, któremu dzisiaj uratowała życie, nie jest markizem Wroxham. Zdawało jej się, że markiz musi być raczej człowiekiem w średnim wieku.

Pan Lawson powiedział, że jego zwierzchnik wygrał już wiele różnych majątków, pomyślała więc, że musi grać od bardzo dawna.

Miała wrażenie, że postąpiła głupio. Powinna była dopytać się dokładnie, kim jest ten człowiek, który wygrał nie tylko majątek ojca, ale również ją samą. Wtedy była jednak zbyt wstrząśnięta.

Instynktownie uciekała myślami od wieści, które przyniósł pan Lawson. Próbowała wierzyć, że nie ma racji.

Przyszedł jednak dzień ostatecznego rozrachunku. Niania odezwała się w te słowa:

- Wygląda panienka prześlicznie i nikt nie śmie mi zaprzeczyć.

Idona podeszła do lustra i spojrzała na swoje odbicie.

Suknia matki rzeczywiście wyglądała inaczej niż bawełniane, przykrótkie spódnice, które nosiła na co dzień.

Nie kosztowała drogo, jednak jej fason świadczył o dobrym smaku pani Overton.

Była to biała suknia, z falbanką dokoła dekoltu i wysoką talią, jak nakazywała ówczesna moda. Rękawy i dół spódnicy również ozdobiono falbankami. W tym prostym stroju Idona wyglądała szczupło i elegancko.

Suknia nadała jej sylwetce niezwykłą smukłość i delikatność. Idona przypominała teraz nimfę - jedną z tych, które jako dziecko widywała we mgle unoszącej się rankiem nad wodami jeziora.

Niania kazała jej usiąść przy toalecie i zaczęła upinać jej włosy.

Nie było to najmodniejsze uczesanie, lecz Idona wyglądała w nim prześlicznie. Włosy okalały jej twarz niczym aureola jaśniejąca blaskiem promieni wpadających do pokoju przez okno.

- Niech panienka pójdzie teraz do salonu - poleciła niania. - Adam już pewnie skończył porządki w pokoju pana, więc wyślę go do hallu, żeby czekał na gości.

Idona podniosła się z krzesła. Niania, widząc wyraz jej twarzy, powiedziała szybko:

- Niech panienka przestanie się zamartwiać. Matka i ojciec będą patrzeć na to wszystko z góry. Ja już od chwili, gdy usłyszałam co się stało, modłę się każdego dnia, żeby wszystko dobrze się skończyło.

- Ja robię to samo, nianiu - odrzekła Idona.

Niania, chcąc ukryć łzy, pospieszenie wymknęła się z pokoju. W chwilę później słychać było, jak przywołuje Adama. Idona powoli schodziła po schodach myśląc, że nawet jeśli ten niegrzeczny mężczyzna, którego spotkała w gospodzie, okaże się być markizem, to i tak nic złego się nie stanie. Nikt nie może odebrać jej radości, jaką daje jej widok pięknych kwiatów.

Wczoraj przyniosła z ogrodu ogromne bukiety żonkili, które ułożyła w wielkich wazach w salonie.

Dotknęła ich płatków, jakby mogły dodać jej odwagi. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że dżentelmen, na którego czekała, wziął ją za dziewczkę-służącą i proponował pięć gwinei za usługę.

Po raz pierwszy poczuła złość, że bez względu na to, jak była ubrana, nie rozpoznał w niej damy i nie zrozumiał, że pochodzi z nie gorszego rodu niż on.

Potem pomyślała, iż damy nie jeżdżą na koniach samotnie i bez kapelusza. Skąd też prawdziwa dama miałyby wiedzieć, że rozbójnicy przygotowują w lesie zasadzkę - a nawet gdyby wiedziała, zapewne nie zadałaby sobie trudu, żeby ostrzec ewentualne ofiary.

- Być może będzie zaskoczony, gdy mnie zobaczy - pomyślała.

W tej samej chwili usłyszała stukot kół przed domem, a za chwilę głosy rozlegające się w hallu.

Poczuła przerażenie. Chciała jak najprędzej uciec i dobrze się ukryć. Spojrzała jednak na portret jednego z przodków i stwierdziła, że nie jest gorsza niż jego lordowska mość i nie powinna dać się onieśmielić.

Stała przed kominkiem i niemal w tej samej chwili do pokoju wkroczył Adam, oznajmiając swoim starczym, skrzeczącym głosem:

- Markiz Wroxham, panienko, i towarzysząca mu dama.

Idony nie zdziwił fakt, iż markiz wszedł do pokoju pierwszy. Spodziewała się też, że będzie to ten sam dżentelmen, który tak źle potraktował ją w saloniku gospody Jima Barleya.

Poczuła jednak satysfakcję. Mężczyzna rozejrzał się po pokoju, a gdy rozpoznał ją, w jego oczach widać było zdumienie.

Idona zrobiła dwa kroki w jego stronę, więc on również zmuszony był podejść. Gdy stanęli twarzą w twarz, ukłoniła się.

Zastanawiała się, co powinna powiedzieć, ale to on zaczął rozmowę:

- A więc już wiem kim pani jest! - stwierdził. - Jadąc tu, cały czas zastanawiałem się, dlaczego pani zniknęła.

- Mam nadzieję... że jego lordowska mość przebył dalszą drogę bez żadnych... przykrych incydentów - udało się wykrztusić Idonie. Miała nadzieję, że jej głos nie zdradzał niepokoju.

W rzeczywistości w jej słowach słychać było niepewność i obawę.

Niebieskie oczy, którymi przyglądała się cynicznej twarzy markiza, wyrażały wszystkie jej uczucia.

Widziała, jak spod przymkniętych powiek przygląda się jej badawczym, impertynenckim wzrokiem. Po raz pierwszy w życiu poczuła ogromną nienawiść. Nigdy wcześniej nie zaznała tego uczucia.

W tej samej chwili „Zjawa”, która weszła do pokoju tuż za markizem, czując iż pominięto ją w rozmowie, odezwała się swoim pospolitym głosem:

- Cóż, mogę tylko stwierdzić, iż nie wiedziałam, że tu na wsi czyha tyle niebezpieczeństw. Będę szczęśliwa, jeśli czym prędzej wrócimy do naszego kochanego, starego Londynu.

Idona uważała, iż markiz postąpił niegrzecznie nie przedstawiając towarzyszącej mu „Zjawy”.

- Miło mi panią poznać. Zapewniam, iż nieczęsto mamy tutaj do czynienia z tak groźnymi przestępcami.

Mnie wystarczy ten jeden raz - odparła podniesionym głosem „Zjawa”.

- Takie wypadki są u nas czymś niecodziennym. Mam nadzieję, że wasza lordowska mość wytłumaczy to pannie... - Idona zawahała się i spojrzała pytającym wzrokiem na markiza.

- ...Clarice Clairmont! - dokończył. - Na pewno pani o niej słyszała!

Idona wpatrywała się w niego pełnymi zdziwienia oczami, podczas gdy on mówił dalej:

- Pannę Clairmont każdego wieczoru spotkać można w Olimpii. Jest jedną z najśłynniejszych gwiazd londyńskiej sceny.

- To prawda - stwierdziła krótko Clarice Clairmont - a poza tym lubię być tam, gdzie się mnie należycie ceni. To ty przekonałeś mnie, żeby tu przyjechać. Lepiej było cię nie słuchać.

- Wydaje mi się, że nie masz racji - odrzekł markiz. - Zaproponowałem ci wiejską posiadłość, a ty stwierdziłaś, że mogłabyś czasem, gdy nie będziesz zajęta, wydawać tu niedzielne przyjęcia.

- Żeby jacyś rabusie napadali po drodze na gości? - spytała Clarice Clairmont. - Inaczej to sobie wyobrażałam. Po tym co się stało, nigdy nie wybiorę się dalej niż do Chelsea. Tam kupisz mi dom i tam będę wydawać przyjęcia, o których będzie mówił cały Londyn.

Słuchając tych słów, Idona w przerażeniu wstrzymała oddech.

Jak ten człowiek mógł choć przez chwilę pomyśleć o tym, by oddać tę posiadłość, która od czasów dynastii Tudorów należała do jej przodków, tak pospolitej aktoreczce, jak Clarice Clairmont.

Idona nie mogła odmówić jej urody, jednak matka byłaby oburzona, słysząc w jaki sposób się wyraża. Było nie do pomyślenia, iż markiz podarował jej tak cenny prezent - dom i cały majątek...

Nie mogła zrozumieć, dlaczego to zrobił.

Kiedy Clarice otwarcie wyrażała swoją niechęć do tego miejsca, Idona modliła się w duchu, by markiz odjechał i zapomniał o posiadłości Overtonów. Mogłaby wtedy żyć tak, jak do tej pory.

Myślała o tym wszystkim, ale nie opuszczała jej świadomość, iż markiz uważnie się jej przygląda. Choć wydawało się to zupełnie absurdalne, miała nieprzyjemne wrażenie, że ten człowiek czyta w jej myślach.

Zanim jednak zdążyła wyrzec choć słowo, otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczył jeden ze służących. Miał na sobie liberię, a w ręce trzymał srebrną tacę, na której stała butelka szampana i parę kieliszków.

- Szampan! - wykrzyknęła Clarice Clairmont. - Tego właśnie nam potrzeba! Po tym co przeżyłam, koniecznie muszę się napić!

- Myślę, że to pannie Overton należy się szampan - zauważył markiz. — Gdyby nie ona, prawdopodobnie byłbym teraz martwy, Clarice. Jeśli natomiast napadliby na nas rozbójnicy, twoja kolia, którą uparłaś się zabrać ze sobą, z pewnością zmieniałaby właściciela.

- Nie myśl sobie, że mnie wystraszysz. Teraz jest już po wszystkim - oświadczyła Clarice biorąc do ręki kieliszek szampana. - Wracam do Londynu i nigdy więcej, zapamiętaj te słowa, milordzie, nigdy więcej nie będę ci towarzyszyć w tych bezsensownych podróżach.

Służący podał Idonie szampana, ale ona potrząsnęła głową.

- Myślę, że nie należy odmawiać - zauważył markiz. - Powinniśmy wypić toast, panno Overton, za to, że uratowała nas pani, a także za przyszłość.

W chwili gdy wymawiał ostatnie słowo, w oczach Idony pojawił się błysk, po czym oświadczyła:

- Właśnie przyszłość niezmiernie mnie intryguje, milordzie.

- Miejmy więc nadzieję - odparł markiz - że przyniesie ona same przyjemne chwile i pozwoli zapomnieć o tym, co nas niedawno spotkało!

- Nie zabrzmiało to zbyt optymistycznie - pomyślała Idona, ponieważ jednak nie chciała wzbudzać w nim niechęci, wzięła z tacy kieliszek i pociągnęła maleńki łyk szampana, którego nie miała w ustach od ostatnich świąt spędzonych z matką.

Markiz uniósł kieliszek mówiąc:

- Za przyszłość!

- Wspaniały toast! - wykrzyknęła Clarice Clairmont. - Za mój nowy ogromny dom, który kupisz mi w Londynie, i jeszcze za ten naszyjnik, z rubinów, o którym ci mówiłam. Ten z bransoletką do kompletu!

Markiz nie wyrzekł ani słowa, ale z jego twarzy ani na moment nie zniknął cyniczny uśmiech. Idona odstawiła kieliszek i odezwała się:

- Na pewno zechce pani usiąść, panno Clairmont.

Wskazała ręką sofę przy kominku. Uważała, iż markiz postąpił nieprzyzwoicie, przywożąc do jej domu kobietę, która w tak otwarty, bezczelny sposób domagała się kosztownej biżuterii. Coś takiego wyprowadziłoby matkę z równowagi.

- Chciałbym teraz - oświadczył markiz, gdy Clarice Clairmont usadowiła się na swoim miejscu - obejrzeć dom. To, jak rozumiem, jest salon.

- Tak, milordzie.

- O ile dobrze pamiętam, Lawson - człowiek, którego tu przysłałem, mówił, że w jednym z dziennych pokoi jest parę interesujących mebli.

Nastąpiła cisza i dopiero po chwili Idona zdołała zmusić się do odpowiedzi na to pytanie:

- Tak... milordzie.

- Chciałbym je zobaczyć.

- Cóż, nie mam zamiaru nigdzie się ruszać. Mogę pójść co najwyżej do swojej sypialni ~ oświadczyła Clarice Clairmont. - Chcę trochę odpocząć przed kolacją i przebrać się, aby ci się podobać jeszcze bardziej.

Mówiąc te słowa, podniosła się, a potem przyłożyła dłonie do piersi markiza i spojrzała mu prosto w oczy.

Gdy stała tak z głową wychyloną do tyłu, jej usta rozwarły się lekko, jak do pocałunku.

Wyglądała bardzo kusząco, jednak Idona pomyślała, że Clarice jest zbyt nachalna i nie umie się opanować.

Nigdy nie słyszała, żeby kobieta rozmawiała z mężczyzną w tak nieskrępowany sposób. Może tylko wtedy, gdy jej matka i ojciec mówili sobie miłe słowa - to jednak było coś innego.

Nie wiedziała, dlaczego odczuwa różnicę, jednak uczucia wyrażane przez Clarice Clairmont nie miały nic wspólnego z ciepłą, serdeczną miłością, która łączyła jej rodziców.

- Masz rację. Idź na górę i połóż się - zdecydował markiz. - Jestem pewien, że przy kolacji olśnisz mnie swoją urodą.

- To nie ulega wątpliwości - odparła Clarice.

Przesunęła ręce na jego ramiona, a potem objęła kark i przybliżyła jego twarz do swojej.

Idona patrzyła w osłupieniu, jak Clarice pocałowała markiza w usta i powiedziała:

- Tylko nie próbuj swoich „małpich sztuczek”, gdy mnie nie będzie. Jeśli jeszcze raz zobaczę coś takiego, urządzę ci niezłe piekiełko!

Nic czekając na odpowiedź, szybkim krokiem ruszyła do drzwi. Pióra przy kapeluszu zatrzepotały cicho, gdy zwróciła się do Idony:

- Niech pani powie służącej, żeby pokazała mi drogę do sypialni i pomogła się rozebrać.

- Obawiam się, iż jest tu tylko stara niania, która kiedyś służyła jako pokojówka mojej mamy. Nadał jest jednak bardzo zręczna i ze wszystkim sobie radzi - odparła Idona, podchodząc do drzwi.

- No cóż, niech będzie - zgodziła się Clarice. - Gdyby jego lordowska mość nie był tak samolubny, przywozłabym ze sobą własną garderobianą, ale on obiecał, że będzie tu ktoś, kto się o mnie zatroszczy.

Idona odetchnęła z ulgą. Zobaczyła, że niania czeka przy schodach, jakby wiedziała, że będzie potrzebna.

- Och, nianiu! - westchnęła Idona i posłała jej ostrzegawcze spojrzenie. - To jest panna Clarice Clairmont - słynna aktorka. Chciałaby odpocząć przed kolacją. Na pewno zatroszczysz się o nią.

Clarice Clairmont wchodziła wolno po schodach.

- Mam nadzieję, że bagaże zostały już wniesione? - spytała. - W neseserku są moje kosmetyki.

- Wszystko jest na górze - odparła niania podążając za nią po schodach.

Idona wróciła do salonu.

Widziała, że niani nie podobało się to wszystko, jednak w tej sytuacji nie mogła nic zaradzić. Miała tylko nadzieję, że Clarice Clairmont nie będzie jej znieważać i nie urządzi nikomu „niezłego piekielka”, tak jak się odgrażała.

Markiz siedział w fotelu, trzymając w ręce kieliszek szampana i wpatrując się w portret ojca, wiszący na jednej ze ścian.

Gdy Idona wolno podeszła do niego, powiedział:

- Teraz już wian, po kim odziedziczyła pani urodę.
- Wydaje mi się, że jestem bardziej podobna do matki.
- Czy ona też nie żyje?
- Tak. Mama umarła, ale papa żył dopóki pan... dopóki pan go nie zabił!

Nie chciała tego powiedzieć, ale słowa same cisnęły się jej na usta.

Nastąpiła niezręczna cisza i dopiero po chwili markiz odezwał się:

- Czy naprawdę uważa pani, że jestem winien śmierci ojca?
- Gdyby nie skusił go pan tą absurdalną stawką, byłby dzisiaj z nami.
- To była gra. Każdy mógł ze mną zagrać i każdy miał szansę wygrać.
- Jednak mało kto postawiłby na jedną kartę wszystko co posiada - wszystko... włączając w to... jak rozumiem... również mnie!

Znowu nastąpiła cisza, a potem markiz powiedział wolno, przeciągając słowa:

- Lawson poinformował mnie, że pani ojciec miał córkę, jednak sądząc po jego młodym wieku i wyglądzie, można było się spodziewać, iż będzie to jeszcze dziecko.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - spytała Idona. - Jak mógł pan włączyć do umowy ten okropny paragraf?

- Kiedy spisywaliśmy warunki zakładu - odparł markiz - chodziło mi głównie o konie i bydło.

Zanim Idona zdążyła znaleźć odpowiednie słowa, markiz zapytał:

- Czy nie ma pani własnych pieniędzy?

- Nie, oczywiście że nie mam! Gdybym miała, spłaciłabym długi ojca.

- To znaczy, że ma długi? - zainteresował się markiz.

- Jestem pewna, że sir Lawson poinformował pana nie tylko o długach ojca, ale także o zadłużonym majątku. Właściwie nie można teraz pożyczyć pieniędzy z banku, a papa sprzedał już większość przedmiotów, które miały jakąkolwiek wartość.

Markiz słyszał cierpienie w głosie Idony.

- Chciałbym zobaczyć meble, o których mówił pan Lawson - oświadczył.

Z przygnębieniem na twarzy Idona poprowadziła go wzdłuż korytarza prosto do urzędzonej przez matkę bawialni.

Późno popołudniowe promienie słońca wlewały się przez okno i wypełniały pokój oślepiającym, jakby niebiańskim blaskiem.

W bawialni unosił się delikatny zapach wiosennych kwiatów, które Idona przyniosła wczoraj z ogrodu.

Pachniało również aromatem pot-pourri, wypływającym z chińskich waz ustawionych na parapecie pod oknem.

Delikatne francuskie mebelki, które tak bardzo kochała matka, odbijały blask promieni słonecznych. W tym świetle pięknie prezentowały się również miniatury, wiszące po obydwu stronach kominka.

Idona spojrzała na markiza, który rozglądał się dookoła, i choć nie miała całkowitej pewności, wydało jej się, że był rozczarowany tym, co zobaczył.

Ten pokój miał dla Idony ogromne znaczenie. Czuła, że nienawidzi markiza i choć wiedziała, że nie powinna tak myśleć, zaczęła żałować, iż rozbójnicy nie zastrzelili go na drodze.

- Ale przecież to pani mnie ocaliła - powiedział cicho markiz.

Wpatrywała się w niego zdziwionym wzrokiem. Nie mogła uwierzyć, że czytał w jej myślach.

~ P...Pan... wie o czym myślałam? - zapytała.

- Przecież to oczywiste - odparł - i wydaje mi się, panno Overton, że powinienem jeszcze raz podziękować pani za uratowanie mi życia.

Idona poczuła zakłopotanie i odwróciła wzrok, natomiast markiz z nutą szyderstwa w głosie powiedział:

- Na pewno zdaje sobie pani sprawę, że jest okazja, by zwrócić się do mnie z dowolną prośbą. W takiej sytuacji powinienem czuć się zobowiązany do spełnienia pani życzeń.

- Czy naprawdę... pan tak myśli? - spytała Idona.

Jednak gdy zobaczyła na jego twarzy cyniczny uśmiech, poprawiła się:

- Nie, nie, nie to chciałam powiedzieć! Zrobiłam to, co każdy człowiek uczyniłby w takiej sytuacji. Tak jak powiedziałam panu w gospodzie, nie chcę żadnej nagrody.

- Jest pani tego pewna? Czy nie postępuje pani trochę głupio, albo inaczej - „niepraktycznie”?

Nastąpiła cisza i dopiero po chwili Idona odezwała się:

- Zanim jeszcze przybył pan tutaj, chciałam poprosić waszą lordowską mość o życzliwość dla tych mieszkańców posiadłości, którzy są zbyt starzy, by zatroszczyć się o swój los. Chodzi mi o służących, parobka, który pracuje tu od trzydziestu lat... dwóch starych ogrodników i oczywiście wszystkich ludzi w podeszłym wieku, którym ojciec wypłacał rentę.

- Czy myślała pani, że wyrzucę ich na bruk i pozwolę umrzeć z głodu?

Idona zwarła dłonie mówiąc:

- Przepraszam... nie chciałam pana rozgniewać... ale pan rozumie, że oni tyle dla mnie znaczą... podczas gdy dla pana nie są aż tak... ważni.

- Czy tylko to chciałaby pani ode mnie uzyskać?

Idona rozłożyła ręce w bezradnym geście, a potem spojrzała na portret matki wiszący nad obramowaniem kominka.

- To na pewno jest pani matka - rzekł markiz. - Jest pani do niej bardzo podobna. Jak pani myśli, o co poprosiłaby matka, gdyby była na pani miejscu?

Na ustach Idony po raz pierwszy pojawił się uśmiech.

- Mama zawsze widziała w ludziach to, co było w nich najlepsze. Podejrzewam, milordzie, że zostawiłaby wszystko w pańskich rękach, mając nadzieję, iż pana decyzje będą mądre i sprawiedliwe.

Markiz wpatrywał się w Idonę. Trudno było mu uwierzyć w to, co słyszał, więc raz jeszcze powtórzył:

- Jak dotąd nie dowiedziałem się, jakiej przyszłości pragnie pani dla siebie.

- Nie chciałabym oczywiście stawiać żadnych żądań wobec waszej lordowskiej mości, jednak, gdybym mogła pozostać tutaj, w moim... własnym domu, byłabym... bardzo szczęśliwa.

- Chce pani zostać tu sama?

- Mogłabym mieszkać z nianią, która towarzyszy mi od dzieciństwa, i z dwojgiem starszków, którzy zajmowali się domem, od kiedy zabrakło nam pieniędzy na służących.

Posyłając mu błagalne spojrzenie, mówiła dalej:

- Oni są naprawdę przerażeni. Boją się, że mógłby ich pan odesłać i wtedy musieliby iść do przytułku.

- Ile ma pani lat? - zapytał markiz.

Idona pomyślała, że nie ma to żadnego związku z tematem ich rozmowy, ale posłusznie odpowiedziała:

- Skończyłam osiemnaście i pół roku.

- I byłaby pani szczęśliwa pozostając tu? Czy to jakiś miejscowy elegant zawładnął pani sercem?

- Już wcześniej wspominał pan o tym - odparła Idona zniżonym głosem. - Mogę panu przyrzec, że nikt taki nie istnieje.

Markiz uniósł brwi, tak jakby nie wierzył jej słowom. Powiedziała więc:

- Przez rok nosiłam żałobę po śmierci matki, a potem przyszły ciężkie czasy, tak że nie było nas stać na rozrywki. Papa często wyjeżdżał do Londynu, a ja byłam całkiem szczęśliwa, mogąc zajmować się domem i od czasu do czasu trochę pojeździć konno.

Widziała, jak markiz patrzy na nią spod przymkniętych powiek. Pomyślała, że jej nie wierzy, on jednak po chwili odezwał się:

- Zadziwia mnie pani, panno Overton. Uważam, że nic powinna pani jeździć samotnie po okolicy, tak jak dzisiaj. Gdyby rozbójnicy spostrzegli, że ktoś ich podsłuchuje, jako kobieta nie uratowałaby pani ani siebie, ani tym bardziej mnie!

Idona roześmiała się cicho, a jej głos był radosny jak promienie słońca, które przez okno wlewały się do pokoju.

- Wątpię, czy rozbójnicy coś by mi zrobili - stwierdziła. - Nie noszę w kieszeniach pieniędzy, a moja szyja nie jest obwieszona oszałamiającą biżuterią.

Markiz nieznacznie wykrzywił usta. Zdał sobie sprawę, że Idona nie zrozumiała, co miał na myśli. Oznajmił więc tylko stanowczym tonem:

- Tak czy inaczej uważam, że jest pani zbyt dorosła, by jeździć samotnie po okolicy, a jednocześnie zbyt młoda, by pozostać w tym domu, który teraz należy do mnie.

- Nie... nie rozumiem.

- W takim razie spróbuję to pani wyjaśnić - odrzekł. - To jest teraz mój dom. Być może będę przyjeżdżał tu od czasu do czasu, choć wcale nie jest to takie pewne.

Obawiam się, że gdyby pozostała pani tutaj, pełniąc rolę gospodyni, wywołałoby to najrozmaitsze komentarze.

Idona nie wiedziała, co odrzec. W końcu więc zapytała:

- To znaczy... że gdyby powierzył mi pan opiekę nad domem, ludzie zaczęliby plotkować?

- Właśnie tak.

Nadal nie rozumiała, o co mu chodzi. Przypomniała sobie jednak, że zaproponował ten dom Clarice Clairmont, podczas gdy ona wołała, żeby kupił jej posiadłość w Chelsea. Miała tam zamieszkać jako nowa właścicielka.

Nagle zdała sobie sprawę ze swojej naiwności.

Nigdy nie wiedziała, co ludzie mają na myśli, gdy z zapartym tchem opowiadają o londyńskich dżentelmenach i towarzyszących im pięknych kobietach, które z jakichś niezrozumiałych dla niej względów nie są akceptowane w porządnym domach.

Przypomniała sobie, co ojciec mówił do jednego z przyjaciół, gdy pewnego razu po powrocie z Londynu jedli razem obiad:

- Widziałem kiedyś Quexa. Został niedawno łowczym w pałacu królewskim.

- Słyszałem o tym - odrzekł przyjaciel.

- Pojawia się też ostatnio - kontynuował ojciec - w towarzystwie najśliczniejszej Cypryjki, jaką w życiu widziałem. Twarz anioła i do tego cięty języczek! Quex jest z niej niezmiernie dumny.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparł przyjaciel. - Szybko jednak nudzą go te nowe zdobycze, a ich uroda przestaje mieć znaczenie. Pewnie wkrótce znowu wyruszy na łowy.

Obydwaj zaśmiali się głośno. Teraz Idona przypomniała sobie każde słowo ich rozmowy i z uczuciem konsternacji zaczęła rozumieć, kim jest dla markiza Clarice Clairmont.

Nie do końca wiedziała, co pociąga za sobą taki związek, w każdym razie markiz mógł kupić tej kobiecie dom, a ona całowała go w obecności innych osób. Poza tym Idona miała pewność, że markiz nie ma najmniejszego zamiaru ożenić się z panną Clarice.

Jeśli zamieszkałaby w tym domu, który przecież nie należał już do niej, zostałaby zakwalifikowana do tej samej kategorii kobiet, co Clarice Clairmont i śliczna Cypryjka o „ciętym języczku”.

Myśl o tym przeraziła ją.

Spojrzała na markiza i zdała sobie sprawę, że obserwuje ją i choć nie chciało jej się wierzyć, że to możliwe, miała wrażenie, że czyta w jej myślach.

Rozdział 4

Schodząc po schodach na kolację, Idona czuła lęk.

Wcześniej miała nadzieję, że nie będzie musiała jadać posiłków w towarzystwie markiza i Clarice Clairmont.

Przeszli z bawialni do biblioteki, obejrzeni buduar i skierowali się w stronę salonu.

- O której godzinie będzie kolacja? - zapytał markiz.
- Za życia ojca jadaliliśmy zwykle o wpół do ósmej, ale jeśli wolałby pan późniejszą porę...?

- Wpół do ósmej zupełnie mi odpowiada - odparł markiz, zanim zdążyła coś dodać.

Kiedy w końcu znaleźli się w salonie, Idona spytała niepewnym głosem:

- Wydaje mi się... że może wolałby pan zjeść kolację z panną Clairmont... sam na sam...
Ja mogłabym... posilić się gdzie indziej.

Markiz uniósł brwi.

- Czy wydaje się pani, że ja sobie tego życzę - zapytał - czy też jest to raczej pani życzenie?

Idonie zdawało się, że powiedział to nieco agresywnym tonem, dlatego odparła szybko:

- Ja... życzę sobie tego... co wasza lordowska mość.
- W takim razie, jako że jest to jeszcze ciągle pani dom, proponuję, aby grała pani nadal rolę gospodyni, podczas gdy ja będę pod każdym względem zachowywał się jak gość.

Idona poczuła, że jej twarz oblewa się rumieńcem. Nie wątpiła, że markiz stroi sobie z niej żarty. Gdy zaczął rozglądać się po salonie, powiedziała:

- Jak tylko podejmie pan decyzję, co dalej zrobić z tym domem, bardzo proszę, by poinformował mnie pan o tym. Wyobraża pan sobie, milordzie, jak trudno jest trwać... w ciągłej niepewności.

Mówiąc te słowa, przeszła na drugą stronę pokoju i zatrzymała się przy wielkiej wazie pełnej żonkili. Nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy, tępo wpatrywała się w podłogę.

Markiz obserwował ją. Po jakimś czasie, gdy nie usłyszała odpowiedzi, spojrzała na niego. Była pewna, że jak zwykle przygląda jej się spod przymkniętych powiek, a na jego twarzy znowu gości ten cyniczny uśmiech, którego tak bardzo nie lubiła.

Ponieważ nadal nic nie mówił, spytała głosem pełnym obawy:

- Co... co się stało?
- Dlaczego uważa pani, że coś się stało? - spytał wymijająco.
- Mam wrażenie... że chce mi pan powiedzieć coś... coś co mnie zasmuci.
- Czy próbuje pani być równie spostrzegawcza jak ja? - zapytał markiz.

- Właściwie - odparła Idona - nie myślałam o sobie, lecz o ludziach... którzy tak jak ja uzależnieni są od pańskich... decyzji.

- W tej chwili bardziej interesuje mnie pani los i jak podejrzewam, pani ojciec właśnie tego by ode mnie oczekiwał.

Mówiąc to spojrział na portret sir Richarda, a Idona miała wrażenie, że ktoś wbija jej nóż w serce. Pomyślała, że jeśli markiz odeśle ją z tego domu, nigdy więcej nie zobaczy portretów matki i ojca.

Podążając śladem własnych myśli, markiz zwrócił się do Idony:

- Powiedziała pani, że ojciec był szaleńcem, decydując się na ten zakład. Gdyby to jednak on był zwycięzcą, zapewne miałaby pani inne zdanie.

Mówił takim tonem, jakby chciał na nią zrzucić całą winę, Idona odparła więc:

- Nawet gdyby papa wygrał, nadal uważałabym, że nie można stawiać tak wiele na jedną kartę.

- Czy uważa pani, że to niestosowne?

- Uważam, że jest to kwestia zdrowego rozsądku - odrzekła Idona. - Pan mógł sobie pozwolić na stratę pięćdziesięciu tysięcy funtów, chociaż istnieją zapewne lepsze sposoby wykorzystania takiej sumy. Jednak papa nie powinien był grać o wszystko co posiadał... wszystko!

Jej głos załamał się, kiedy wymawiała ostatnie słowo. Odwróciła się do okna, aby ukryć łzy, które napłynęły jej do oczu.

Nastąpiła cisza i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że markiz stanął tuż przy niej. Powiedział:

- Choćbyśmy mieli mądrość całego świata, żadne z nas nie jest w stanie cofnąć wskazówek zegara i naprawić tego, co się stało. Musimy teraz podjąć decyzje dotyczące pani przyszłości.

- Mogłabym chyba zamieszkać w jednej z chałup stanowiących część majątku - zasugerowała Idona. - Nie byłoby wtedy... niezyczliwych komentarzy i prawdopodobnie nikt nie interesowałby się mną.

- Wydaje mi się, że niewiele osób jest zainteresowanych pani losem - zauważył markiz. Pomyślała, że mówi to, aby zrobić jej przykrość. Wyprostowała się i odparła:

- Nigdy nie miałam wielu przyjaciół, milordzie. Wystarczała mi miłość dwojga ludzi, którzy znaczyli dla mnie więcej niż wszystko inne na świecie.

Mówiła podniesionym głosem, gdyż miała wrażenie, że markiz z niej szydzi:

Chce mi pan pokazać, że jestem beznadziejna i nie umiem sobie radzić. Być może pewnego dnia zadziwię pana, milordzie!

- Już zdążyła mnie pani zadziwić! — odparł markiz. - Nigdy wcześniej nie spotkałem kobiety, która tak świetnie radziłaby sobie z bronią. Nie spodziewałem się, że wykaże pani taki refleks jak wtedy, gdy strzelając do jednego z rozbójników, uchroniła mnie pani przed śmiercią.

- To był odruch - odrzekła Idona. - Jednocześnie nie chcę nawet myśleć, że kogoś... zabiłam... Nawet jeśli był to przestępca.

- To bardzo chwalebna postawa!

Zacisnęła pięści, świadoma tego, że z niej szydzi. Poczwała, jak nienawiść wzbiera w niej niczym potężna fala.

Jednocześnie starała się unikać jego wzroku. Ciągle pamiętała, że w jakiś przedziwny sposób potrafi czytać w jej myślach.

- Może zechciałaby pani przestać spierać się ze mną - powiedział markiz - i wysłuchać, jakie mam plany odnośnie pani przyszłości.

Idona zeszywniała, nadal jednak wpatrywała się w okno. Pomiedzy koronami starych dębów widać było słońce, które w blasku chwały chowało się za horyzontem.

- Ponieważ jest pani teraz moją własnością, a więc podlega mojej opiece, postanowiłem zabrać panią do Londynu i pokazać, jak żyje ten cywilizowany świat, którym tak pani pogardza.

Przez moment Idona miała wrażenie, że się przesłyszała. Gdy odwróciła się od okna, markiz ujrzał w jej oczach obawę.

- Co... Co pan mówił?

- Powiedziałem wyraźnie. Chcę wprowadzić panią w wielki świat, a reszta będzie już zależała od pani. Można w tym świecie zginąć, ale można też korzystać z jego uroków.

- Jak... mógłby pan... zrobić coś takiego?

- To nie będzie trudne - odparł markiz. - Moja babka zaopiekuje się panią, a ponieważ jest równie znudzona jak ja, jestem pewien, że będzie to dla niej świetna rozrywka.

Idona zrobiła głęboki oddech.

- Nie, nie! To zupełnie niemożliwe! - broniła się. - Jak mogłabym się zgodzić na tak absurdalne... wręcz śmieszne rozwiązanie? Mogłabym myśleć, że jest pan bardzo uprzejmy wysuwając taką propozycję, milordzie... zdaję sobie jednak sprawę, z czego ona wynika. Pan po prostu stroi sobie ze mnie żarty. Mam bardzo znikome obycie towarzyskie, a gafy, jakie popełniałabym w różnych sytuacjach, byłyby dla pana powodem do śmiechu.

Mówiła bardzo szybko, a jej słowa zlewały się w jedną całość.

Markiz natomiast, lekko wykrzywiając usta, powiedział:

- Zakłada pani z góry coś, o czym ja nawet nie pomyślałem. Nie zamierzam się z pani naśmiewać. Jak już powiedziałem, uważam, że jako córka państwa Overtonów powinna pani zostać wprowadzona w życie towarzyskie, mimo że pani rodzice nie mogli sobie na to pozwolić.

- W takim razie w jaki sposób ja mam sobie na to pozwolić? - spytała ze złością Idona. - Musiałabym kupić stroje, na które mnie nie stać, a także setki innych dodatków, których nawet nie umiałabym wymienić. Prawdę mówiąc, jestem w tych sprawach zupełną ignorantką.

Nie zastanawiała się nad tym, co mówi. Dopiero gdy zobaczyła uśmiech na jego ustach, przypomniała sobie, jak Clarice Clairmont prosiła o naszyjnik i bransoletkę z rubinów.

Westchnęła głośno, a jej głos odbił się echem o ściany pokoju:

- Nie! Jak mógł pan choć przez chwilę pomyśleć, że zechcę być pana dłużniczką z powodu strojów i wszystkiego, co miałabym otrzymać.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wyrzuciła z siebie:

- Papa stracił wszystko, ale zachował dumę, która pozwoliła mu umrzeć z uśmiechem na twarzy. Stawił czoła wszystkim, którzy okazywali mu współczucie. Ja również mam swoją dumę, milordzie, i nie może mi jej pan odebrać.

- Przykro mi, panno Overton, ale duma nie jest jadalna i wydaje mi się, że nie będzie wielkiej różnicy, jeśli oprócz posiłków, które pani spożywa, opłacę również stroje, które ukryją pani nagość.

Idona była tak oszołomiona tym, co usłyszała, że nie wyrzekła ani słowa. Przez chwilę wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi oczami.

Potem szybko odwróciła się do okna, zdając sobie sprawę, że w takiej sytuacji może tylko uciec i schować się gdzieś, gdzie nikt nigdy jej nie znajdzie.

Zabierze Merkurego i ulotni się tak samo, jak zrobiła to dzisiejszego ranka.

Teraz jednak ucieknie znacznie dalej, hen przez pola i lasy, a potem będzie musiała znaleźć jakieś schronienie i coś do jedzenia.

Gdy myślała o tym, w jaki sposób można szybko wydostać się z domu, markiz odezwał się:

- To byłoby bardzo głupie rozwiązanie, a poza tym czułbym się zobowiązany do odnalezienia pani, bez względu na związane z tym trudności. W ostateczności musiałbym urządzić pościg i kazać ludziom przyprowadzić panią z powrotem.

Znowu zgadywał jej myśli. Po chwili oszołomienia, które wywołały w niej jego słowa, Idona odezwała się słabym głosem, tak jakby wypalił się w niej cały ogień:

- Co... mogę uczynić?

- Zrobi pani to, co powiem - odparł markiz - a to dlatego, że wiem, co jest dla pani najlepsze. Na chwilę przerwał, po czym dodał:

- Aby mieć pewność, iż nie będzie się pani sprzeciwiać, obiecuję, że w zamian za pani dobre sprawowanie zadbam o to, by służący z tego domu, ogrodnicy i starzy ludzie ze wsi uzyskali właściwą opiekę.

Idona popatrzyła na niego, a jej oczy rozjaśniły się.

- Czy to prawda? — spytała. - Czy naprawdę pan tak zrobi?

- Zawsze mówię prawdę - odparł - i jeśli dam pani swoje słowo, to oczekuję, że pani również dotrzyma obietnicy.

Idona spojrzała na niego i znowu zaczęła się zastanawiać, czy aby nie spróbować jeszcze raz wyperswadować mu planów, jakie wobec niej poczynił.

Jednak wyraz jego twarzy, zacięte usta i uniesiony podbródek przekonały ją, że nie bacząc na jej prośby i błagania, zrobi to, co uważa za słuszne.

Ledwo słyszalnym głosem spytała:

- Dam... panu... słowo... ale... dlaczego... chce pan... to zrobić?

- Pani sama dała mi już odpowiedź na to pytanie - odparł markiz - i ma pani rację. Rzeczywiście, zabawnie będzie przyglądać się, jak radzi sobie pani w wielkim świecie, daleko od tej starej, zapuszczonej posiadłości'.

Chciała mu zaprzeczyć, wykrzyknąć, że to co powiedział, to nieprawda, ale spuściła tylko wzrok i wybiegła z pokoju z cichym łkaniem, którego w żaden sposób nie mogła opanować.

Idona przebierała się w swojej sypialni, kiedy do pokoju weszła niania. Z wyrazu twarzy starej kobiety z łatwością można było odczytać jej uczucia i domyślić się, co zaraz powie.

- Gdyby jaśnie pani wiedziała, kto dzisiaj spał w jej łóżku, przewracałaby się w grobie! - powiedziała niania. - To się nie godzi! Jego lordowska mość nie powinien przywozić ze sobą takiej kobiety! Ona nie jest dla panienki odpowiednim towarzystwem!

- On myślał, że jestem dzieckiem. Tak opisał mnie pan Lawson.

- W porównaniu z tą wiedzmą rzeczywiście jest panienka dzieckiem - gniewnie odparła niania. - Obnosi się z tym swoim naszyjnikiem, jakby to były królewskie klejnoty i mówi, że mogłaby dużo opowiedzieć o tym, skąd je ma!

Nagle pomyślała, że nie powinna mówić Idonie takich rzeczy. Ugryzła się w język, zmieniając temat:

- Może panienka włożyć tę samą sukienkę, którą nosi na co dzień, gdy jesteśmy same, a jeśli zamierza panienka zejść na dół i jeść przy jednym stole z tą kobietą, to chyba po moim trupie.

- Chciałam trzymać się z daleka - odrzekła Idona - ale jego lordowska mość nalegał, bym jadła razem z nim. Sama dobrze wiesz, nianiu, że nie możemy zniechęcać go do siebie.

- Co panienka ma na myśli? Czego on chce? Czego on od panienki oczekuje? - pytała podniesionym głosem niania.

Idona widziała, jak bardzo jest poruszona, i dlatego postanowiła mówić wymijająco.

- Jego lordowska mość zgodził się - powiedziała cicho - zapewnić utrzymanie wszystkim służącym, to znaczy Adamom i tobie, nianiu. To jest na pewno krok w dobrym kierunku.

Niania głośno westchnęła, a po chwili odparła:

- Na pewno, panienko! A czego żąda w zamian?

- Chce tylko, abym była mu posłuszna - odrzekła Idona i nie dostrzegła w oczach niani zaniepokojenia.

Nie chciała mówić nic więcej na temat rozmowy, którą odbyła z markizem.

Włożyła swoją jedyną suknię wieczorową, którą kiedyś uszyła jej niania. Gdy ojciec przyjeżdżał do domu, zasiadała w niej do kolacji.

Była to bardzo prosta sukienka z taniego musłinu. Na nic innego nie mogli sobie pozwolić.

Niania robiła co mogła, aby suknia była zgodna z jej własnym wyobrażeniem o modzie. Miała wysoką talię i odpowiednio głęboki dekolci, dzięki czemu mogła uchodzić za strój wieczorowy.

Idona wiedziała, że przy Clarice Clairmont będzie wyglądać bardzo niepozornie, dlatego wyjęła z wazonika na toaletce kilka białych konwalii i przypięła je sobie przy dekolcie.

Niania ułożyła jej włosy i wpięła po kilka kwiatów z każdej strony głowy.

Sama nie wiedziała, dlaczego tak się stara. Z pewnością nie chciała, aby markiz poczuł nad nią władzę, nawet jeśli musiała mu być posłuszna.

Miał w sobie ogromną siłę, władczość, która dawała jej poczucie, że jeśli nie będzie stawiać mu czoła, zmiażdży ją i wdepcze w ziemię, a ona zwyczajnie przestanie istnieć.

Otwierając drzwi do salonu miała nadzieję, że będzie tam pierwsza.

Zobaczyła jednak markiza stojącego tyłem do kominka, w którym, zapewne z jego rozkazu, służący rozpalili ogień. Wyglądał teraz jeszcze bardziej dostojnie niż wcześniej.

Miał na sobie wieczorowy frak. Fular fantazyjnie zawiązany pod szyją i proste, czarne spodnie, uszyte według najnowszej mody, wprowadzonej przez księcia regenta, sprawiały, iż wyglądał jak przybysz z innego świata.

Idona bała się, że markiz będzie się naigrawał z jej wysiłków zmierzających do upiększenia stroju. Zaczęła nagle żałować, że przypięła konwalie do sukni i włosów.

A jednak trzymała głowę wysoko i dopiero podszedłszy do markiza, lekko się ukloniła. Miała wrażenie, że przygląda jej się uważnie, próbując doszukać się w jej wyglądzie niedoskonałości.

- Napije się pani szampana? - zapytał.

Idona ujrzała srebrną tacę, którą służący położyli na bocznym stoliku. Stało na niej srebrne naczynie do lodu, nie używane od śmierci dziadka.

Przemknęło jej przez myśl, że ojciec musiał o nim zapomnieć, gdyż w przeciwnym razie na pewno by je sprzedał.

Gdy pomyślała o tym, że tak bardzo brakowało mu pieniędzy i że przez wiele lat w domu nie było szampana, zrobiło jej się smutno. Starając się o tym wszystkim zapomnieć, wzięła kieliszek z ręki markiza.

- Wydaje mi się - powiedział podając jej szampana - że powinienem zapytać panią o historię tej posiadłości, a więc przede wszystkim o pani przodków. To naprawdę stary dom, ale również niezwykle piękny. Pokój, w którym śpię, ma specyficzną atmosferę, jakiej od dawna nie udało mi się spotkać w żadnym innym miejscu.

Zdziwiła ją uprzejmość markiza, odparła więc:

- Być może duchy przeszłości nie pozwolą panu spać dzisiejszej nocy.
- Wierzy pani w duchy?
- Oczywiście że tak! - odrzekła Idona. - Jest ich tu mnóstwo i bardzo często je widuję.
- Czy myśli pani, że w to uwierzę?

Roześmiała się.

- Nieważne, czy pan uwierzy. To nawiedzony dom, od czasu kiedy Karol II zatrzymał się tutaj podczas ucieczki przed oddziałami Cromwella.

- Co się wtedy stało?

- Pani Overton, która go tu ukryła, zakochała się w nim do nieprzytomności, a kiedy uciekł do Francji, umarła z tęsknoty, gdyż jej miłość nigdy nie mogła być spełniona. Pochowano ją w rodzinnym grobowcu.

- Bardzo smutna historia - stwierdził markiz. - Czy wydaje się pani, że spotka ją podobny los?

- Mam nadzieję, że nie.

- Podejrzewam, że podobnie jak wszystkie inne kobiety, czeka pani na swojego „księcia z bajki”, który zakocha się w pani od pierwszego wejrzenia, a potem zostanie mężem i żoną i będziecie żyć razem długo i szczęśliwie.

Skończył mówić i wtedy Idona pomyślała, że tego właśnie pragnie.

Musiał znowu odczytać jej myśli, gdyż oświadczył:

-- Chciałaby pani zbyt wiele. Życie wygląda inaczej, niż pani to sobie wyobraża, a miłość, niech pani wierzy, panno Overton, najczęściej przynosi rozczarowanie.

- Być może tak zawsze było w pana przypadku - odparła Idona - ale moi rodzice byli ze sobą bardzo szczęśliwi. Cała rodzina wyrzekła się mamy, gdy zdecydowała się poślubić ojca i choć cały czas doskwierała nam bieda, mama nigdy tego nie żałowała.

- Być może mieli niezwykle szczęście.

- Myślę, że chodzi o to - mówiła Idona, szukając odpowiednich słów - że nie liczyli kosztów, tak jak robiłby to pan i inni ludzie. Wiedzieli, że są stworzeni dla siebie i wszystko inne nie miało znaczenia.

Jej głos był cichy, ale bardzo przejmujący- Gdy skończyła, markiz powiedział:

- Jeśli chce pani iść przez życie przepelniona takimi ideałami i pragnieniami, które nie są możliwe do spełnienia, ostrzegam, że bardzo się pani rozczaruje! Powinno wystarczyć pani to, co możliwe do osiągnięcia: bogaty mężczyzna o odpowiedniej pozycji towarzyskiej i koligacjach rodzinnych podobnych do pani własnych. Czy można chcieć czegoś więcej?

- Ja jednak chcę czegoś więcej! - odparła Idona. - Dużo, dużo więcej! Jeśli już kogoś poślubię, to chcę, żeby mnie kochał z całego serca, tak jak i ja będę go kochać. Nieważne, że będzie nam ciężko, że przyjdzie nam dawać sobie radę bez koni, służących, bez klejnotów i szampana. Będziemy mieli siebie, a to coś znacznie cenniejszego niż wszystkie bogactwa tego świata.

Mówiła trochę podniesionym głosem, a jej oczy błyszczały na wspomnienie rodziców i szczęścia, jakie umieli sobie dawać. Kiedy byli razem, cały dom wypełniał się jasnym blaskiem ich miłości.

Skończyła, a wtedy otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Clarice Clairmont.

Wyglądała tak niesamowicie, że Idona nie mogła oderwać od niej wzroku.

Miała na sobie suknię z zielonego przezroczystego jedwabiu, nałożoną wprost na gołe ciało. Suknia na dole i przy rękawach ozdobiona była piórami. Również we włosach Clarice delikatnym blaskiem połyskiwały złociste pióra, które wprawiły Idonę w zachwyt.

Miała mocno poczerwione rzęsy, długie prawie na półtora centymetra, a do tego szkarłatnoczerwone usta.

Jej cudowne rysy i długa szyja sprawiały, że była przejmująco piękna, nawet jeśli jej uroda była trochę zbyt krzykliwa i wyniosła.

Podeszła do markiza mówiąc:

- Słyszę, że rozmawiacie o czymś cennym. Chodzi o jakieś kosztowności? Zaznaczam od razu, że nikt oprócz mnie nie będzie otrzymywał żadnych klejnotów!

Mówiąc te słowa podejrzliwie spoglądała na Idonę, a ona, jakby bojąc się Clarice, zrobiła krok do tyłu.

- Nie rozmawialiśmy o klejnotach, Clarice - oświadczył markiz, ale o czymś, co panna Overton uważa za rzecz znacznie cenniejszą.

- Ach tak, a cóż to takiego?

- Uczucia, to co mamy w sobie.

- Ach, więc o to chodzi! - zrozumiała Clarice. - Jak wiesz, milordzie, od słów zawsze wolałam uczynki, w tym również dawanie prezentów.

- Nie wątpię, że tak właśnie myślisz - odparł markiz.

Podał jej kieliszek szampana, a ona pociągnęła łyk i powiedziała:

- Tego mi było trzeba! Tutejsza atmosfera wzbudza we mnie niepokój! Ta stara kobieta, która pomagała mi się przebrać, opowiadała, że w tym domu są duchy. Nie cierpię ich prawie tak samo jak rozbójników. Mam nadzieję, mój czarujący markizie, że będziesz mnie przed nimi ochraniał!

Podawała mu pusty kieliszek, a kiedy ponownie go napełniał, delikatnie dotknęła dłonią jego twarzy.

Kiedy spostrzegła, że Idona przygląda się jej, spytała:

- Jest przystojny, nieprawdaż? Ale niech pani uważa, on należy do mnie i radziłabym trzymać rączki z dala od niego.

Idona poczuła, że rumieniec napływa jej do twarzy. Odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała głos Adama, który wszedł do pokoju i poinformował:

- Podano obiad, panienko!

Zanim wymówił ostatnie słowo, zawahał się. Idona wiedziała, że nie miał pewności, czy nie należałoby zwrócić się do markiza.

- Ponieważ stanowimy dość nietypowe towarzystwo - stwierdził markiz - będę musiał poprowadzić na kolację obydwie panie.

To mówiąc, podał prawą rękę Idonie, a lewą Clarice. Idona bała się przez chwilę, że aktorka zrobi mu scenę, ona jednak bez słowa protestu ujęła ramię markiza, po czym

przysunęła się tak blisko, że jej policzek dotknął jego ramienia, zostawiając ślad pudru na rękawie fraka.

W jadalni zapalono wszystkie świece, a dwóch służących czekało, by pomóc Adamowi przy podawaniu kolacji.

Wyglądało to wszystko inaczej, niż podczas posiłków, które Idona spożywała z nianią, gdy zostawały w domu same.

Na początek podano zupę ze świeżych grzybów uzbieranych przez dzieci z wioski.

Następnym daniem był pstrąg. Idona domyślała się, że kłusownicy wyławiali te ryby z jeziora, aby później sprzedać je na targu.

Na koniec wniesiono udziec młodego jagnięcia z farmy i kilka tłusciutkich przepiórek. Synom gospodarza wolno było polować w lesie na ptaki, jeśli ojca nie było w posiadłości.

Zastanawiała się, czy markiz zatrudni teraz gajowych. Chciała też wiedzieć, co będzie w sytuacji, gdy Clarice Clairmont odmówi przyjęcia domu i majątku — czy markiz poszuka sobie jakiejś innej Cypryjki, która na podobnych warunkach przyjmie ten podarunek tylko po to, by wydawać tu przyjęcia.

Sama myśl o tym odbierała jej apetyt.

Nie mogła uwierzyć, że jakaś wystrojona, wymalowana kobieta, podobna do Clarice Clairmont, będzie przesiadywać w pokojach, w których żyli i umierali jej przodkowie - ludzie, którzy zapisali się na kartach historii Anglii.

Musiała jednak przyznać, że markiz, którego tak nienawidziła, cały czas zachowywał równowagę. Siedział teraz w wysokim fotelu, na honorowym miejscu, które kiedyś należne było ojcu.

Clarice niczym nie różniła się od pospolitej dziewczki, a w każdym jej słowie słychać było prostactwo i zachłanność. On natomiast bez wątpienia był dżentelmenem i jakkolwiek wydawał się Idonie odpychający, zawsze odnosił się do niej z należytą grzecznością.

Wciąż jednak nie miała do niego pełnego zaufania.

Wydawało jej się, że świat odwrócił się do góry nogami, a przyszłość cały czas była dla niej niewiadomą, której bardzo się bała.

Nie lękała się duchów, lecz ludzi - żywych ludzi, z którymi przyjdzie jej przebywać, wiedząc że jest zupełnie inna niż oni.

- Boże, błagam, pozwól mi zostać w tym domu, gdzie wszystko jest mi tak bliskie - modliła się.

Zauważyła, że markiz ciągle jej się przygląda i poczuła obawę, że znowu zgaduje jej myśli.

Nagle zrobił coś, czego Idona zupełnie się po nim nie spodziewała. Zaczął w interesujący sposób opowiadać o swoich obrazach, a także o innych rodach, które podobnie jak Overtonowie mają całe kolekcje portretów przedstawiających podobizny przodków.

- Ogromna szkoda - stwierdził - że pani ojciec nie miał syna. Wtedy, jak zapewne pani wie, to on zostałby dziedzicem i majątek nie przeszedłby w moje ręce.

- Mama zawsze żałowała, że nie ma syna - odparła Idona. - Gdy byłam małą, prosiłam Boga, by dał mi brata, a jeśli to zupełnie niemożliwe, by przemienił mnie w chłopca.

Markiz roześmiał się.

- To życzenie nie mogło być spełnione! Czy miała pani inne marzenia?

- Jedno zostało spełnione dziś wieczorem - odparła Idona zniżonym głosem, mając na myśli obiecaną przez markiza pomoc dla ludzi, o których tak bardzo się martwiła.

- Zastanawiam się - powiedział zamyślony - czy za rok, gdy ktoś zechce spełnić jakieś pani życzenie, nadal będzie pani myśleć o tych natrętach, którzy są dla nas wszystkich jak kamienie u szyi?

- Mam nadzieję, że bez względu na to, czy będzie to jeden człowiek, czy dwudziestu ludzi, będę miała takie samo poczucie odpowiedzialności, jak teraz — odparła szybko Idona.

Dostrzegła rozbawienie w oczach markiza. Wiedziała, że cały czas rozmyślnie podsuwa jej przynętę i czeka na reakcję.

Poczuła ulgę, gdy usłyszała słowa Clarice:

- Mam już dosyć tego gadania o obrazach i domu, który w ogóle mi się nie podoba. Porozmawiajmy o moich sprawach! Mam nadzieję, że wspomozesz finansowo następną sztukę. Wiesz, że na to liczę!

- Muszę się zastanowić - odrzekł markiz - ale najpierw chciałbym ją przeczytać.

- To będzie prawdziwy sukces, możesz być tego pewny! - oświadczyła Clarice. - Mam fantastyczną rolę, a ponieważ świetnie wyglądam w bryczesach, zrobię ogromną sensację!

Idona wpatrywała się w nią, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

Czyż kobieta może występować w bryczesach zamiast w spódnicy? Nawet jeśli ma to być tylko rola w teatrze?

Clarice najwidoczniej odczytała jej myśli, gdyż powiedziała do markiza:

- Ojej, ależ zaszokowałam twoją „wiejską myszkę"! Zdaje się, że to jedna z tych wstrętnych ropuch, które mieszkają na prowincji i nie mają pojęcia o tym, co dzieje się na świecie. Jedźmy rano z powrotem do Londynu i zabawmy się trochę przed moim jutrzejszym występem.

- Masz rację, Clarice - zgodził się markiz - zupełnie nic pasujesz do tego miejsca.

Nie zabrzmiało to jak komplement, dlatego Clarice odparła:

- Całkowicie się z tobą zgadzam, ale nie musisz mówić tego takim tonem! Nie należę do tych, co pokazują się ludziom z kwiatkami we włosach i przy sukience.

Spojrzała na Idonę, po czym dodała:

- Zostawiam to tym wszystkim świętoszkom, które patrzą na mnie z góry, a same w żaden sposób nie potrafią zarobić tyle, co ja.

Idona wstała z krzesła.

- Wydaje mi się, panno Clairmont - powiedziała - że powinniśmy podyskutować o tym na osobności.

- Możesz sobie iść, gdzie chcesz - odparła Clarice. - Ja zostaję tutaj. Nie opuszczę go ani na krok, tak długo, jak długo będziesz się kręcić w pobliżu!

Przesunęła krzesło w stronę markiza i położyła rękę na jego ramieniu.

- Gdybyśmy mieli trochę oleju w głowie - stwierdziła - spędzilibyśmy noc w tej małej, przytulnej gospodzie, w której jedliśmy obiad. Była tam śliczna sypialnia, łóżko z baldachimem i z puchowym materacem. Moglibyśmy lepiej zabawić się tam, niż w tym okropnym domu pełnym duchów, które na pewno wszystko zepsują!

Idona przestała słuchać.

Podeszła do drzwi i z godnością opuściła jadalnię. Kiedy drzwi zamknęły się za nią, zaczęła biec.

Przemknęła przez korytarz, obok salonu i biblioteki, po czym wpadła do bawialni matki.

Okiennice były otwarte, a rozsunięte zasłony wpuszczały do pokoju ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Idona rzuciła się na sofę, ukryła twarz między jedwabne poduszki i zaczęła płakać.

Wypląły z niej wszystkie łzy, które tłumiała w sobie od chwili, gdy dowiedziała się o przegranej ojca. Tak jak nimfa Kanute nie potrafiła zatrzymać przyływu morza, tak i ona nie miała siły opanować płaczu.

Łkała głośno, jak dziecko, które nie umie oprzeć się straszliwej rozpacz.

W chwilę później, gdy jej emocje zaczęły już po trochu wygasać, usłyszała, że otwierają się drzwi.

Na moment zeszywniała. Pomyślała, że to stary Adam albo niania przychodzą, aby zamknąć pokój.

Kiedy jednak usłyszała kroki, zdała sobie sprawę, że to markiz odnalazł ją tutaj, w bawialni matki.

Podniosła się, ale głowę trzymała pochyloną, tak aby nie mógł dostrzec jej twarzy.

Markiz odezwał się innym niż dotychczas tonem:

- Nie myślałem, że znajdę panią we łzach, była pani dotychczas tak dzielna.
- Nie... jestem... dzielna... Boję... się - powiedziała cichutkim głosem Idona.
- Boi się pani mnie?
- Tak... pana... i tego... co każe mi pan robić... Jestem... przerażona... na myśl o tym... jak wszyscy... będą się ze mnie śmiali... gdy zrobię jakiś błąd.

- Mogę panią zapewnić, że nikt nie odważy się śmiać.

Markiz usiadł obok niej na sofie, a ona zadrżała lekko, gdy poczuła jego bliskość.

Głowę miała jednak ciągle pochyloną, wiedziała, że łzy ciekną jej po policzkach, a nie miała czym wytrzeć oczu.

Gdy poczuła, że włożył jej do ręki chusteczkę, przyłożyła ją do twarzy.

Był to kawałek miękkiego batystu, pachnący wodą kolońską, która przypomniała jej ojca. Łzy ponownie napłynęły jej do oczu.

Nadludzkim wysiłkiem powstrzymała się od płaczu i powiedziała:

- Bardzo... przepraszam!
- Nie ma za co przepraszać - odparł markiz. — Miała pani bardzo męczący dzień, więc radziłbym pani czym prędzej udać się do łóżka, a resztę zostawić mnie. Nigdy nie jest tak źle, jak się nam wydaje. Myślę, że sama się pani o tym przekona, chociaż teraz trudno w to uwierzyć. Proszę mi zaufać, zrobię to, co dla pani najlepsze. Ponieważ mówił do niej teraz zupełnie innym niż dotychczas tonem, Idona podniosła głowę i spojrzała na niego.

Stał tyłem do okna, ale widział jej lekko oświetloną twarz, jej mokre rzęsy, zaczerwienione od płaczu policzki i lekko drżące usta.

- Jest pani bardzo młoda - powiedział tak, jakby zwracał się do samego siebie. - Jednocześnie wiem, że w głębi duszy uważa pani, iż postępuję rozsądnie, nawet jeśli nie jest to zgodne z pani życzeniami.

Idona przyglądała mu się uważnie, mówiąc:

- Wydaje mi się... że nie patrzyłam na to... z punktu widzenia zdrowego rozsądku... a tylko... poprzez emocje.
- No właśnie! - zgodził się markiz - A jeśli później będzie mi pani w stanie udowodnić, że nie miałem racji, to zastanowimy się nad innym rozwiązaniem.

Idona wzięła głęboki oddech.

- Czy naprawdę pan tak myśli? Czy naprawdę będę miała jakiś wybór... i jeśli nie będzie to... zbyt trudne... niemożliwe... czy będę mogła... wrócić do domu?
- Jeśli nadarzy się odpowiednia okazja, porozmawiamy o tym - odrzekł markiz.

- Dziękuję... Dziękuję panu... Czuję się teraz znacznie lepiej... i przepraszam... że uciekłam i rozplakałam się... To było bardzo dziecinne.

- Myślę, że tak jak większość dzieci, chciała pani odszukać swoją matkę.

Idona wpatrywała się w niego szerokimi ze zdziwienia oczami.

Nie spodziewała się, że powie coś takiego, albo że zrozumie jej uczucia.

Ponieważ nie mogła znaleźć słów, by mu odpowiedzieć, wyciągnął dłoń i pomógł jej wstać.

- Najwyższy czas, by poszła pani spać — stwierdził. - Rano wszystko będzie wyglądało inaczej.

Ponieważ zabrzmiało to jak polecenie, Idona posłuchała go.

Rozdział 5

Idona rozglądała się po zalanej blaskiem świec jadalni. Miała wrażenie, że znalazła się w teatrze. Markiz siedzący przy stole na honorowym miejscu, obok dwóch niesamowicie pięknych kobiet, wydawał jej się odległy i zupełnie nierzeczywisty.

Od chwili przybycia do pałacu Wroxham chodziła jak we śnie: uśmiechała się, rozmawiała, jednak cały czas miała wrażenie, że jest marionetką, a markiz tylko pociąga za sznurki.

Jego babka, lady Dowager, była zupełnie inna, niż można było przypuszczać.

Markiz opuścił dwór Overtonów wczesnym rankiem, gdy tylko Clarice Clairmont oświadczyła, że jest gotowa.

Po jego odjeździe Idona dowiedziała się, że zostawił instrukcje dla niej i dla niani. Miały udać się do Londynu powozem, który zostanie dla nich przysłany następnego ranka.

Niania znacznie bardziej niż Idona wyczekiwała mającej nastąpić zmiany.

- Jego lordowska mość ma rację - mówiła stanowczo. - Chociaż przywiózł tu tę okropną wymalowaną paniusię, zrozumiał, że jako dama powinna panienka zostać wprowadzona do towarzystwa, tak jak życzyłaby sobie jaśnie pani, matka panienki.

- Wcale tego nie chcę! - odparła Idona.

Niania nie słuchała jednak i powtarzała tylko, że matka i ojciec byliby bardzo szczęśliwi, wiedząc, że zostanie przedstawiona w Londynie przez markizę Dowager z Wroxham.

- Skąd wiesz kim ona jest, nianiu? - spytała zdziwionym głosem Idona.

- Mam oczy i uszy otwarte! - odrzekła niania. - Słucham co mówią ludzie i ciekawi mnie, co dzieje się na świecie!

Idona powstrzymała się od śmiechu, choć wiedziała, że słowa niani dalekie są od prawdy. Stara kobieta mówiła jednak dalej:

- Służący jego lordowskiej mości powiedzieli, że jaśnie pani jest przez wszystkich bardzo poważana, a ponieważ markiz nie ma żony, to ona pełni rolę gospodyni w jego posiadłościach. Bywają u niego najważniejsze i najbardziej szanowane osobistości, nie wyłączając samego księcia regenta!

Idona nie odezwała się ani słowem, wiedziała jednak, że książe nie zawsze uchodził za mądrego i poważnego człowieka. Słyszała od ojca o jego związkach z panią **Fitzhcrbert** i wieloma innymi kobietami.

Niania podążała jednak tokiem własnych myśli, paplając bezustannie, aż Idona przestała jej słuchać.

Gdy po raz pierwszy ujrzała markizę, uświadomiła sobie, że ta kobieta trochę przypomina jej matkę.

Witając się z nią, miała wrażenie, że z panią Dowager nawet w pałacu przy Berkeley Square będzie się czuła jak u siebie w domu.

Następnego dnia markiza posiała po najlepszych z Bond Street, a oni zjawili się w pałacu już wczesnym rankiem.

- Nie wolno ci wychodzić stąd ani na krok - oświadczyła stanowczo pani Dowager - aż do czasu, kiedy stwierdzę, że jesteś odpowiednio ubrana.

Idona miała zmartwiony wygląd.

- Czy zechce pani... madam, posłuchać mnie... przez chwilę?

- Ależ oczywiście! - odparła markiza.

- Jego lordowska mość powiedział... że otrzymam nowe stroje - powiedziała Idona. - Jednak mama byłaby zaszokowana, gdyby wiedziała... że obcy dżentelmen płaci za moje suknie.

W oczach markizy pojawiły się małe iskierki.

- Znam mojego wnuka - stwierdziła - i wiem, że wydał mnóstwo pieniędzy na rozmaite kobiety. Po raz pierwszy nie robi tego dla własnych korzyści i dlatego nie mogę pozwolić, abyś odmówiła pomocy z jego strony. To na pewno przyda się do zbawienia jego duszy!

Idona miała ochotę się roześmiać. Odrzekła jednak:

- Mimo wszystko, sama pani rozumie, madam, że to... nieprzyzwoite.

- Ależ nawet w najmniejszym stopniu nie jest to nieprzyzwoite - odparła markiza. ~ Nikt nie będzie miał do ciebie zastrzeżeń. Znajdujesz się pod moją opieką i to ja jestem odpowiedzialna za twój ubiór. Nieważne, kto faktycznie płaci rachunki. Tak czy inaczej, Sholto może sobie na to pozwolić bez specjalnych wyrzeczeń.

Idona chciała dalej się spierać, wiedziała jednak, że jest to bezcelowe.

Poza tym, tak jak stwierdziła już niania, gdyby markiz nie zapłacił za jej suknie, to skąd miałyby wziąć pieniądze?

- Wynika to tylko z tego całego bałaganu, do którego doprowadził ojciec panienki - stwierdziła cierpkim głosem. - To jedno wielkie pomieszanie z poplątaniem, jakkolwiek by na to nie patrzeć! Może panienka tylko dziękować Bogu, że nie znalazła się na ulicy i nie cierpi teraz głodu.

Ta okropna wizja zawsze towarzyszyła Idonie, wmawiała więc sobie, że powinna być rozsądna i - tak jak powiedziałaby jej ojciec - „nie zagłądać darowanemu koniowi w zęby”.

Suknie, które wybrała dla niej markiza, zapierały dech w piersiach. Takich strojów nie widziała nawet w swoich najśmielszych marzeniach.

Najpierw należało znaleźć coś, co mogłaby włożyć od zaraz. Ze względu na jej szczupłą sylwetkę, nie okazało się to specjalnie trudne.

Niektóre z sukien przyniesionych na Berkeley Square trzeba było nawet trochę zwęzić.

Potrzebne były nie tylko suknie, ale również wysokie kapelusze z pochylonym rondem przystrojone kwiatami i wstążkami. Niektóre obszyte były delikatną koronką, w której Idonie było bardzo do twarzy.

Martwiła się tym, że suknie są w większości bardzo przezrocyste. Miała wrażenie, że wygląda w nich nieprzyzwoicie.

Markiza roześmiała się, gdy usłyszała ojej wątpliwościach.

- Jutro wieczorem zobaczysz dużo bardziej przezrocyste stroje - oświadczyła. - Takie suknie wyglądają pięknie na dziewczynie z figurą nimfy, natomiast na grubych, starych paniusiach prezentują się żałośnie. Powinny chyba zdawać sobie sprawę, że robią z siebie pośmiewisko.

Markiza była dla Idony bardzo życzliwa, jednak robiła od czasu do czasu ostre, krytyczne komentarze. Dziewczyna śmiała się, a jednocześnie była szczęśliwa, że te uwagi nie są skierowane do niej.

Następnego dnia, gdy markiza stwierdziła, że Idona ma już odpowiednie suknie i może pojawić się w miejscu publicznym, urządziły sobie przejażdżkę wzdłuż alei Rotten Row, a pani Dowager widziała, jak ludzie przyglądają się jej towarzysze i zastanawiają się, kim może być ta piękna nieznajoma.

Po powrocie do domu markiza oświadczyła.

- Dziś wieczorem dowiedzą się, kim jesteś. Zostaniesz nową gwiazdą wśród arystokracji.

Idona poczuła mocne bicie serca i drżącym głosem spytała:

- Co... to znaczy?

- To znaczy - odparła markiza - że zabieram cię na bal wydawany w pałacu Devonshire przez piękną księżną Georgianę. Jestem jednak pewna, że wiele osób uzna, iż ty jesteś znacznie piękniejsza niż ona.

Idona miała wrażenie, że pani Dowager chce ją trochę podrażnić. Była przerażona, kiedy po podwieczorku do salonu wszedł markiz z bardziej niż zwykle znudzonym i cynicznym wyrazem twarzy. W ręce trzymał kawałek papieru.

- Właśnie otrzymałem listę gości, którzy mają być obecni na dzisiejszej kolacji - zwrócił się do babki - i zauważyłem, że Rosebel została pominięta. Wydaje mi się, że zanim wyjechała w czwartek, mówiła, że wróci do Londynu przed balem w pałacu Devonshire.

- Cóż, nie powiedziano mi o tym — odrzekła markiza. - Poza tym wiesz, jak ona umie zepsuć miłą atmosferę przy stole.

- Będziemy musieli znaleźć jeszcze jednego mężczyznę do pary - oświadczył markiz znudzonym głosem. - Prawdopodobnie uda mi się przekonać Worceстера, aby przyszedł tu dziś wieczorem.

- Czy jesteś pewien, że Rosebel przyjdzie? - zaczęła markiza.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi do salonu i wesoły, śpiewny głos zawołał:

- Wróciłam! To była najbardziej wyczerpująca podróż w moim życiu!

Do pokoju wpadła jak burza młoda osóbką. Idona pomyślała, że to najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziała.

Miała na sobie ciemnoniliową suknię. Jej bladą, delikatną twarz okalały rude włosy, a długa szyja ozdobiona była bogatym naszyjnikiem z ametystów i diamentów.

Przepełnęła przez pokój, ucałowała lady Dowager w obydwie policzki, a następnie zwróciła się do markiza:

- Jak się masz, najmilszy Sholto? Z pewnością znowu źle się prowadzisz?

- Oczywiście że tak - odparł markiz. - Właśnie mówiliśmy o tobie.

- Jestem zaszczycona! Ale kto to jest?

Młoda osóbką od samego wejścia przyglądała się Idonie. Markiza oświadczyła więc:

- Rosebel, przedstawiam ci nową podopieczną Sholto, pannę Idonę Overton. Idono, oto lady Rosebel Western!

Rosebel roześmiała się i zabrzmiało to jak melodia maleńkich dzwoneczków.

- Podopieczna Sholto! - wykrzyknęła. - Osobiście uważam go za wyjątkowo nieodpowiedniego opiekuna dla młodej dziewczyny!

- Tu właśnie się mylisz - odparł markiz. - Bardzo poważnie podchodzę do swoich obowiązków.

Jego ton ponownie wprowadził Rosebel w rozbawienie. Zwróciła się do Idony:

- Niech pani nie wierzy ani jednemu słowu, które pochodzi z jego ust. To wilk w owczej skórze, choć tak naprawdę niewiele ludzi daje się oszukać!

Idonę onieśmieliły te wzajemne docinki markiza i lady Rosebel, które skończyły się dopiero wówczas, gdy wszyscy udali się na górę, aby przebrać się do kolacji.

Kiedy weszła do swojej sypialni, lady Rosebel wemknęła się za nią i zamknęła drzwi.

Ponieważ Rosebel najwyraźniej chciała porozmawiać, niania opuściła pokój, aby w korytarzu poczekać na polecenia Idony.

Lady Rosebel usiadła na brzegu łóżka, zdjęła z głowy modny kapelusik i rzuciła go na podłogę.

- A teraz powiedz mi prawdę. Dlaczego jesteś w pałacu? - spytała. - Musi być jakiś powód, gdyż dotychczas Sholto nie zauważał istnienia młodych, niezamężnych kobiet!

Ponieważ w oczach Idony widać było zdziwienie, mówiła dalej:

- Oczywiście nie powiedzieli ci, że jestem wdową. Mój mąż został zabity podczas walk z Francuzami i chociaż nie powinnam tego mówić, to najlepsza rzecz, jaka spotkała mnie w życiu!

Idona była oszołomiona tym, co usłyszała, lady Rosebel opowiadała jednak dalej:

- To prawda! Wyszłam za niego, gdyż wyglądał bardzo przystojnie w tym swoim mundurze, a także dlatego, że papa, który ma dyktatorskie ciągotki, zabronił mi się z nim zadawać.

Westchnęła.

- O rany, jak niemądrzy są czasem rodzice. Gdyby papa rozkazał mi: „Masz poślubić George'a, natychmiast bym odmówiła. Ponieważ jednak był to „zakazany owoc”, jakżesz mogłam się mu oprzeć?

- I teraz mieszka pani tutaj? - spytała Idona, próbując poukładać sobie to wszystko w jakąś całość.

- Czy nikt ci nie powiedział? - zdziwiła się lady Rosebel. - Jestem kuzynką Sholto, a gdy byliśmy dziećmi, nasi rodzice postanowili, że się pobierzemy. Majątek mojego ojca jest podobny do tego, jaki posiada Sholto. Tak więc, kazano mi go poślubić, nie dając możliwości podjęcia własnej decyzji.

Roześmiała się, a potem dodała: Jak już wiesz, zbuntowałam się i wyszłam za biednego George'a, który zresztą okazał się strasznym nudziarzem. Za miesiąc jednak, gdy skończy mi się żałoba po matce, poślubię szacownego markiza.

Idona na chwilę wstrzymała oddech.

Nie spodziewała się takiej wiadomości i sama nie wiedziała dlaczego czuła się tak, jakby ktoś zadał jej nieoczekiwany cios.

Lady Rosebel podniosła się z łóżka i podeszła do lustra.

- Pomyśl, jak pięknie będę wyglądać w szmaragdach rodziny Wroxham w czasie ceremonii otwarcia Parlamentu - powiedziała. - A także podczas balów na dworze królewskim! Nie mogę się już doczekać chwili, kiedy założę te wszystkie diamenty, szafiry i turkusy. Właściwie jedyne klejnoty, jakie pozostaną w ich sejfach, to rubiny.

Idona przypomniała sobie naszyjnik i bransoletę z rubinów, o którą prosiła markiza Clarice Clairmont.

W żaden sposób nie potrafiła tego zrozumieć.

Jak mógł kupować innej kobiecie dom w Chelsea, jeśli był zaręczony ze swoją kuzynką?

Pomyślała, że to zapewne jedna z tych sytuacji, których mogła się spodziewać w tak zwanym „wielkim świecie”. Nie wiedziała o co tu naprawdę chodzi i miała wrażenie, że zachowuje się jak „głupia gęś z prowincji”.

- Muszę iść się przebrać - rzuciła od niechcenia lady Rosebel. - Markiza wspominała, że to twój pierwszy bał. Obiecuję zadbać o to, by zatańczyli z tobą wszyscy najbogatsi kawalerowie - najlepsze partie w Londynie.

Podniosła z podłogi kapelusz i trzymając za wstążki, zaczęła nim wesoło wymachiwać. Potem wyszła z pokoju.

Idona patrzyła na drzwi, które zamknęły się za Rosebel. Po raz kolejny poczuła, że znalazła się w świecie, w którym liczą się tylko pozory.

Niania pomogła jej się ubrać, a markiza przysłała swoją własną służącą, by uczesała jej włosy. Gdy była gotowa, spojrzała w lustro i wydało jej się, że widzi kogoś zupełnie obcego, jakąś nieznaną młodą kobietę.

Suknia, którą na pierwsze wyjście kazała jej włożyć markiza, była tak śliczna, że zdawało się, iż świętokradztwem jest noszenie jej na sobie. Idona miała wrażenie, że taki strój powinno się raczej pokazywać w szklanej gablocie.

Była uszyta z delikatnej srebrnej tkaniny, a spódnicę okrywała dodatkowa warstwa przezroczystej materii, którą zdobiły pojedyncze, błyszczące niczym krople rosy diamentki.

Ta prosta suknia, przypominająca krojem grecką tunikę, była jednocześnie niezwykle wykwintna. Przylegała do ciała, sprawiając, że Idona wyglądała tak, jakby przed chwilą wyszła spod fontanny.

Jedyną dodatkową ozdobą były srebrne wstążki w jej włosach oraz długie koronkowe rękawiczki, na których również połyskiwały, niczym kropelki rosy, maleńkie szkiełka.

Zeszła na dół do salonu, zastanawiając się, czy markiz zaakceptuje jej nowy strój i czy nie stwierdzi, że suknia zbyt mocno podkreśla jej kształty.

Stał naprzeciwko kominka. Idona zmieszana się, gdy ujrzała, że oprócz niego w pokoju jest kilku innych dżentelmenów, natomiast nie ma z nimi ani markizy, ani też lady Rosebel.

Weszła do pokoju i zatrzymała się, nie wiedząc, czy nie powinna się wycofać. Markiz tymczasem podszedł do niej i powiedział swoim typowym sarkastycznym tonem:

- W przeciwieństwie do większości osób płci pięknej, jest pani punktualna. Pozwoli pani, że przedstawię ją moim przyjaciółom.

Idona bała się poruszyć. Spojrzała na niego i spytała szeptem:

- Czy... Czy dobrze wyglądam? Czy... tego właśnie pan... oczekiwał?

Czuła strach, dlatego w jej głosie słychać było drżenie.

- Wygląda pani prześlicznie - odpowiedział markiz - i jestem pewien, że dzisiejszej nocy usłyszysz to pani od wielu mężczyzn.

Nie zabrzmiało to jak komplement, nabrała jednak odrobiny pewności. Markiz tymczasem poprowadził ją przez salon i przedstawił swoim znajomym.

Gdy zebrali się wszyscy goście łącznie z markizą, pojawiła się lady Rosebel. Idona miała wrażenie, że jej urok przyćmił dokładnie wszystkich, nie wyłączając jej samej.

Ponieważ wciąż jeszcze obowiązywała ją żałoba po matce, ubrana była w bladoliliową suknię, ozdobioną bukietkami fiołków. Kwiaty przypięte były do spódnicy, rękawów, a także do gorsetu z wyjątkowo głębokim wycięciem.

Aksamitne fioletowe wstążki przecinały się na dekolcie i spływały z tyłu sukni, sięgając do samej podłogi.

Miała na sobie mnóstwo diamentów. Przebłyskiwały w bukietkach fiołków, zdobiły szyję i nadgarstki. W jej rudych włosach błyszczał diamentowym blaskiem prześliczny diadem.

Wyglądała naprawdę pięknie i niezwykle. Była prawdziwą damą, a jej strój w niczym nie przypominał przeładowanych ozdobami ubiorów Clarice Clairmont.

Podeszła do markiza i spojrzała na niego, jakby chciała rzucić mu wyzwanie. Idona pomyślała, że właśnie tak ubrane kobiety muszą mu się podobać.

Wydało jej się, że jej strój jest nieodpowiedni, a to, co powiedział o nim markiz, wynikało wyłącznie z jego uprzejmości.

Wtedy przyszło jej do głowy, że powinna robić to, czego życzyłaby sobie w takiej chwili matka. Postanowiła przestać myśleć o sobie i koncentrując się na siedzących obok gościach, zachęcić ich do rozmowy.

Bez wątplenia wzbudzała ogromne zainteresowanie. Już po pierwszym tańcu jej karnekik był w trzech czwartych zapełniony.

Przyjęcia w pałacu Devonshire uważane były za najlepsze i najbardziej wykwintne w całym Londynie.

Przybyły tu wszystkie ważne osobistości ze świata polityki i z wyższych sfer arystokracji. Partnerzy Idony w czasie tańca wskazywali jej znaczniejsze postacie, a ona cieszyła się, że

może zobaczyć ludzi, o których czytała w gazetach i w Magazynie dla Pań. Nie myślała wtedy, że kiedykolwiek zobaczy ich na własne oczy.

Nie miała pojęcia, jak to się mogło stać, ale tańczyła już po raz trzeci z pewnym dżentelmenem, którego przedstawiła jej lady Rosebel.

Nazywał się hrabia Buckcliff. Wirowali dookoła sali, a on bez przerwy prawił Idonie komplementy, które wprawiały ją w zakłopotanie.

Czuła, że trzyma ją jakby trochę mocniej i przysuwa się bliżej, niż jest to przyjęte w tańcu. Odetchnęła z ulgą, gdy melodia się skończyła, a hrabia wyciągnął ją przez otwarte drzwi na taras.

Nie zauważyła wcześniej, że ogród oświetlony został kolorowymi światełkami, a na drzewach zawieszono chińskie lampiony. Wyglądało to tak pięknie, że z radości klasnęła w dłonie.

- Czy to możliwe, że w samym centrum Londynu znaleźć można tak cudowne rzeczy?
- Pozwoli pani, że pokażę jej ogród - zaproponował hrabia.

Zeszli na dół po wykutych żelaznych stopniach, prosto do ogrodu, a potem spacerowali wolno po wąskiej, posypanej żwirem alejce, oświetlonej maleńkimi kolorowymi lampkami.

Spoglądając w górę na gwiazdy, które migotały między koronami drzew, Idona miała wrażenie, że stała się jedną z postaci bajek, które wymyślała sobie w czasie długich, samotnych wieczorów.

Dobiegające z dala dźwięki muzyki, zapach kwiatów i nowa sukienka sprawiały, że czuła się jak Kopciuszek, którego dobra wróżka - w jej przypadku markiz - przeniosła do książęcego pałacu.

Jej myśli uciekły tak daleko, że dopiero gdy hrabia wprowadził ją do słabo oświetlonej altanki, uświadomiła sobie, że odeszli dość daleko od pałacu.

Siedzieli obok siebie na drewnianej ławeczce. Hrabia odwrócił się tak, by móc patrzeć jej w oczy, położył rękę na oparciu za jej plecami, po czym zapytał:

- A teraz, moja droga, niech pani opowie mi o sobie. Ciekawi mnie, w jaki sposób poznała pani markiza Wroxham i dlaczego mieszka pani w jego pałacu przy Berkeley Square.

~ Jestem podopieczną jego babki, markizy Dowager - odparła szybko Idona.

- To niczego nie wyjaśnia - stwierdził hrabia. - Czyżby mój przyjaciel Sholto zakochał się w pani?

Idona lekko drgnęła i spojrzała na niego pełnymi zdziwienia oczami.

- Nie, oczywiście że nie! - odrzekła pospiesznie. - Jak może pan coś takiego sugerować?
- A jednak wszyscy mówią, że jest pani jego podopieczną.

- To prawda.
- Gdzie i w jaki sposób udało mu się znaleźć kogoś tak ślicznego jak pani?

Idona poczuła się zmieszana, jednak nie zamierzała opowiadać hrabiemu o przegranej ojca, jak również o tym, że nie miała innego wyboru, niż tylko wypełniać wolę markiza, który kazał jej przyjechać do Londynu.

Powiedziała więc:

- Lepiej porozmawiajmy o panu, milordzie. Czy ma pan dużo koni wyścigowych? Wydaje mi się, że widziałam pańskie nazwisko w jakimś magazynie sportowym.

- Żadna z rzeczy, które należą do mnie, nie jest tak wspaniała ani atrakcyjna jak pani.

Mówiąc to przysunął się nieco bliżej, a Idona nagle zdała sobie sprawę, że może być niebezpieczny.

- Wydaje mi się, milordzie - powiedziała szybko - że powinniśmy wrócić na salę balową. Czeka na mnie kolejny partner.

- Nie ma pośpiechu - odparł hrabia. - Muszę najpierw coś wyznać. Ponieważ jest pani najcudowniejszą istotą, jaką w życiu spotkałem, bardzo pragnę teraz pocałować panią.

Idona krzyknęła przestraszona, lecz on otoczył ją ramieniem i przyciągnął blisko siebie.

Próbowała się bronić odpychając go obiema rękami, jednak on był silniejszy.

Wtedy głośno wykrzyknęła:

- Nie... nie! Proszę zostawić mnie w spokoju!

Zrozumiała, że znalazła się w beznadziejnej sytuacji, a hrabia coraz bardziej się przybliżał. Jego wargi dotykały jej policzka i już za chwilę mogły znaleźć się przy jej ustach.

- Nie! - krzyknęła jeszcze raz. - Proszę... niech pan pozwoli mi odejść... proszę!

W tej samej chwili blask dobiegający z ogrodu nieco przygasł, a w drzwiach altanki pojawiła się jakaś postać.

Idona nie dostrzegła twarzy, ale z poczuciem niewysłowionej ulgi zrozumiała, że to markiz.

Uścisk hrabiego zelżał, wyrwała się więc z jego ramion i uciekła w stronę swojego wybawcy.

- Przykro mi, drogi Aidenie - oświadczył markiz sarkastycznym tonem - że muszę przerwać tę romantyczną scenę. Przed chwilą przybył jego królewska mość, a moja babka chciałaby przedstawić mu Idonę.

Hrabia nic nie odpowiedział.

W jego oczach widać było wściekłość, lecz po chwili uspokoił się. Idona przytuliła się do markiza, chowając twarz w jego ramionach. Nie objął jej, a tylko chwycił pod rękę i wyprowadził z altany do ogrodu.

Kiedy byli już na tyle daleko, że hrabia nie mógł ich usłyszeć, Idona zaczęła:

- Dziękuję... Dziękuję, że uratował mnie pan! Tak... bardzo się bałam!

- Na Boga, jak mogła pani postąpić tak głupio i pójść z Buckcliffem do ogrodu? - zapytał gniewnym głosem markiz. Idona wiedziała, że jest bardzo rozzłoszczony. - Już wzięli was na języki! Tańczyła z nim pani zbyt często!

- Ja... nie wiedziałam, że to... coś złego — powiedziała cichym głosem Idona — i nie wiedziałam, że dżentelmen będzie się zachowywał... w taki sposób... jeśli dopiero przed chwilą mnie poznał.

Markiz nic nie odpowiedział, a ona dodała po chwili, pociągając nosem:

- Mówiłam... Mówiłam panu... że będę popełniać gafy! Ja... zupełnie nie wiem jak się zachować. Dużo lepiej byłoby... gdyby zostawił mnie pan na wsi.

- Ale jest pani tutaj! - rzekł markiz. — Tak więc niech pani będzie trochę bardziej przewidująca. Nigdy, w żadnym wypadku nie wolno pani chodzić do ogrodu samej w towarzystwie mężczyzny. Szczególnie takiego mężczyzny jak Buckcliff!

- Przepraszam... Bardzo przepraszam... - odrzekła w przygnębieniu Idona. - Czy... Czy mogę wrócić do domu?

Oczywiście że nie! - odparł szorstkim głosem markiz. - Będzie się pani zachowywać tak, jakby nic się nie stało. Proszę przyczesać włosy i uśmiechać się, tak jakby wszystko było w porządku.

Idona potulnie uniosła rękę i przygładziła włosy, zburzone podczas zmagania z hrabią.

Gdy dotarli do schodów prowadzących do sali balowej, spojrzała na markiza wzrokiem pełnym obawy. W świetle dochodzącym z okien pałacu widziała jego nachmurzone, gniewne spojrzenie.

- Proszę... mi wybaczyć - rzekła błagalnym głosem. - Następnym razem... proszę powiedzieć mi... jak mam się zachowywać. Nie chciałabym... przynosić panu wstydu.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. Jej usta lekko drżały.

Przez moment zdawało jej się, że markiz odpowie jej, lecz po chwili usłyszała, jak beznamiętnym tonem rozkazał:

- Niech pani idzie za mną i proszę nie robić z siebie pośmiewiska.

Po wejściu na salę balową podprowadził ją do babki, która rozmawiała z eleganckim mężczyzną w surducie ambasadora.

Lady Dowager dostrzegła ich, markiz więc zwrócił się do niej:

- Powiedziałem Idonie, że między tańcami ma trzymać się blisko ciebie, babciu. Jak wiesz, młodej dziewczynie nie przystoi już na pierwszym balu tańczyć z tym samym partnerem więcej niż jeden raz, albo też włóczyć się po parku z pierwszym lepszym nieznajomym, który ją o to poprosi.

Twarz markizy przez chwilę wyrażała zdziwienie. Po chwili jednak lady Dowager zwróciła się do Idony uprzejmym tonem:

- Chodź, usiądź tu przy mnie, moja droga. Pozwól, że przedstawię ci sir Charlesa Stuarta, naszego słynnego ambasadora w Paryżu.

- Z radością przywitam panie w tym mieście - odparł sir Charles - gdy tylko zdecydujecie się przyjechać na kontynent.

- Trzymam pana za słowo! - roześmiała się markiza.

Gdy sir Charles uklonił się i odszedł w inną stronę, zwróciła się do Idony:

- Cóż takiego zrobiłaś, dziecino, że udało ci się doprowadzić mojego wnuka do wściekłości?

- To było... bardzo niemądre z mojej strony - stwierdziła nieszczęśliwym głosem Idona. - Poszłam do ogrodu w towarzystwie... hrabiego Buckcliffa, a on... bardzo mnie przestraszył.

- Buckcliff! - wykrzyknęła markiza. - Udało ci się schwytać w sidła jedną z najlepszych partii w całej Anglii!

Nie czekając na odpowiedź Idony, mówiła dalej, jakby do siebie:

- Ożenił się w bardzo młodym wieku, ale jego żona od czterech lat nie żyje i wszyscy zastanawiają się, kto zajmie jej miejsce. Gdyby hrabia poprosił o twoją rękę, równałoby się to zdobyciu złotego pucharu na wyścigach w Ascot!

- Jestem pewna... że jego lordowska mość... nie ma takiego zamiaru - odparła szybko Idona.

Mówiąc te słowa, pomyślała, że po tym co się stało w ogrodzie, już zawsze będzie uważała, iż ten człowiek jest nie tylko niegrzeczny, ale wręcz odpychający.

Zobaczyła nagle, że hrabia przecina parkiet, zbliżając się do niej. Zwróciła się więc do markizy:

- Nie życzę sobie tańczyć z nim kolejny raz! Proszę panią, madam... niech pani mu przeszkodzi!

Z wyrazu twarzy lady Dowager łatwo było wywnioskować, iż jest zachwycona zainteresowaniem, jakim obdarzył Idonę hrabia. Z pewnością nie stawiałaby mu żadnych przeszkód, gdyby jeszcze raz poprosił jej podopieczną do tańca.

Na szczęście zatrzymał go jakiś przyjaciel. Idona bez słowa wybiegła z sali balowej i skierowała się do salonu, gdzie siedzieli i rozmawiali rozmaici goście.

W popłochu rozejrzała się dookoła, pragnąc odnaleźć jakąś znajomą twarz.

Nagie, z uczuciem ulgi spostrzegła markiza, który stał przy ścianie, po przeciwnej stronie pokoju. Rozmawiał z jakimś dostojnie wyglądającym mężczyzną, na piersi którego wisiało kilka orderów.

Ruszyła wolno w ich stronę. Właśnie gdy zbliżała się do markiza, jego przyjaciel odwrócił się i zaczął rozmawiać z piękną damą, która położyła mu na ramieniu dłoń przyodzianą w rękawiczkę.

Idona wykorzystała tę okazję.

Podeszła do markiza i patrząc mu prosto w oczy zwróciła się do niego błagalnym głosem:

- Proszę mi pomóc! Hrabia chce... znowu poprosić mnie do tańca... a pańska babcia... uważa... że powinnam się zgodzić.

- A pani chce odmówić?

Markiz wymówił te słowa tak, jakby uważał, że to co usłyszał z ust Idony jest zupełnie niemożliwe.

- Boję się go! - odparła Idona. - Uważam... że jest niemiły, po prostu... odrażający... Nawet gdyby chciał mnie poślubić... chociaż jestem pewna, że tak nie jest... nigdy nie zgodziłabym się... zostać jego żoną.

Markiz uniósł brwi, a potem stwierdził:

- Trudno uwierzyć, że mówi pani prawdę!

Teraz z kolei Idona okazała zdziwienie.

- Czy rzeczywiście wydaje się panu... że poślubiłabym mężczyznę... nie kochając go... tylko dlatego... że jest kimś bardzo ważnym? Wolałabym raczej czyścić podłogi... albo zostać starą panną przez resztę mojego życia.

Mówiła to z pełnym zaangażowaniem, jednak markiz spoglądał na nią spod opuszczonych powiek, a jego wzrok mówił Idonie, że nie wierzy ani jednemu jej słowu.

Ona mówiła jednak dalej, za wszelką cenę starając się go przekonać. Oświadczył więc po chwili:

- Ponieważ wydaje mi się, panno Overton, że ta cała scena musi być straszliwie wyczerpująca, niech pani pozwoli, że zaprowadzę ją na kolację. Bez wątpienia powinna pani coś przekąsić.

W oczach Idony pojawiły się iskierki.

- Byłabym bardzo szczęśliwa! - rzekła, lecz po chwili spytała: - Czy na pewno nie powinien pan towarzyszyć przy stole jakiejś znaczniejszej niż ja osobie?

- Będę towarzyszył pani! - odparł markiz i podał jej ramię.

Na dole, w ogromnej jadalni, Idona poprosiła, by sam wybrał coś dla niej, ponieważ większości potraw nigdy wcześniej nie widziała na oczy.

Nie chciała spróbować ortolanów, uważając, że tak maleńkich ptaszków nie należy zabijać. Zgodziła się zjeść niewielką ostrygę i chłodny mus. Cały czas starała się odgadywać składniki potraw, by później wytłumaczyć to niani.

Zaczęli rozmawiać o jedzeniu, a Idona opowiedziała markizowi o posiłkach, jakie razem z nianią przygotowywały dla ojca, gdy nie stać ich było na kucharza.

- Widzę, że byłaby pani odpowiednią żoną dla biedaka - stwierdził markiz tonem, który nasuwał podejrzenie, iż znowu z niej szydzi.

- Gdyby był zbyt biedny - odrzekła - nie moglibyśmy pozwolić sobie na drogie składniki i przyprawy! Jednak mama była zdania, że bez względu na to, jak bardzo jest nam trudno, papa powinien zawsze być właściwie nakarmiony i zadowolony z posiłków.

- Dlaczego tak uważała? - zagadnął markiz.

- Myślę, że odpowiedź jest bardzo prosta - odparła Idona. - Kochała go! Żałowała, że jest biedna właściwie tylko z jednego powodu. Nie dlatego, że nie mogła mieć pięknych sukien i wspaniałych koni, lecz z powodu ojca. Chciała, aby miał wszystko, czego pragnie.

- Ponieważ jednak nie jest pani mężatką, czego życzyłaby sobie pani dla siebie?

Idona uśmiechnęła się do niego.

- Wydaje mi się, że mam wszystko, czego mogłabym pragnąć - odrzekła. - Zanim pan przybył, martwiłam się bardzo o Adamów, nianię, Neda, który opiekuje się końmi, i o wszystkich ludzi z majątku. Bałam się, że może pan nas wszystkich wyrzucić na ulicę i nie będziemy mieli dokąd pójść.

- A teraz?

- Jest pan taki dobry. Nie ośmieliłabym się nawet marzyć, że okaże się pan tak wielkodusznym człowiekiem. Jednak nie chciałabym narzucać się, szczególnie teraz, gdy ma się pan żenić.

Nastąpiła cisza, a po chwili markiz zapytał szorstkim głosem:

- Kto powiedział, że mam się żenić?

- Lady Rosebel mówiła, że jesteście ze sobą zaręczeni. Mam nadzieję, że obydwójcie będziecie bardzo, bardzo szczęśliwi!

Markiz nie wyrzekł ani słowa, a Idona zaczęła się zastanawiać, czy aby nie popełniła niedyskrecji. Myślała, że być może ich narzeczeństwo to sekret, o którym nie należy mówić aż do chwili, gdy skończy się żałoba po matce Rosebel.

Już chciała przeproszać, gdy nagle ktoś podszedł porozmawiać z markizem. Tak więc odpowiednia chwila minęła.

W drodze powrotnej, gdy były same w powozie, markiza oświadczyła:

- Odniosłaś ogromny sukces, moja droga. Byłam z ciebie bardzo dumna. Wszyscy głowili się nad tym, skąd wzięła się nowa podopieczna Sholto, o której nikt wcześniej nie słyszał! Tak czy inaczej, nie powinnaś wyjaśniać nikomu, w jaki sposób znalazłaś się w naszym domu, ani też mówić ludziom, że twój ojciec zginął w pojedynku.

- Nikomu nawet o tym nie wspomniałam - zapewniła ją Idona.

- To bardzo rozsądnie z twojej strony.

Już wcześniej rozmawiały o tym, czy powinna nosić żałobę, jednak markiza oświadczyła stanowczo, iż nie chce, aby jej podopieczna wyglądała jak czarna wrona.

Idona odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała, co lady Dowager sądzi na ten temat. Ojciec nie cierpiał kobiet w żałobie i zabronił jej ubierać się w czerń po śmierci matki.

Ponieważ nie było wówczas pieniędzy na kupno czarnych strojów, ta decyzja ojca wydawała się bardzo rozsądna.

Idona uważała, że noszenie żałoby to zwykła farsa. Wierzyła przecież, że matka patrzy na nią z nieba i któregoś dnia znowu będą razem.

Gdy dojeżdżały do Berkeley Square, markiza odezwała się:

- Och, przy okazji, posłuchaj, Idono, hrabia Buckcliff pytał, czy może wstąpić do nas jutro po południu i zabrać cię na przejażdżkę do parku. Wyraziłam zgodę, gdyż będziecie jechać otwartym powozem i nie zatrzymacie się nigdzie po drodze.

Idona wydała z siebie okrzyk.

- Och, proszę, madam... Nie chcę nigdzie jechać z hrabią. To bardzo uprzejme z jego strony... ale błagam... proszę, by pani odmówiła... w moim imieniu!

Markiza popatrzyła na nią zdziwionym wzrokiem, a potem rzekła:

- Mam nadzieję, że nie będziesz miała takich uprzedzeń w stosunku do każdego dżentelmena, który zwraca na ciebie uwagę! A jeśli chcesz złapać w sidła mojego wnuka, to muszę ci wyznać w sekrecie, że on i lady Rosebel są ze sobą zaręczeni.

- Tak, wiem - odparła pospiesznie Idona. - Lady Rosebel powiedziała mi o tym, a ja nigdy nie ośmieliłabym się myśleć w ten sposób o jego lordowskiej mości.

- W takim razie mogę cię zapewnić, że w hierarchii ważności następny po nim jest hrabia Buckcliff i według mnie, byłabyś bardzo głupiutka, gdybyś odrzuciła jego starania.

Zamilkła, lecz po chwili dodała:

- Wnioskując z tego, co powiedział mi dzisiaj wieczorem, oczarowałaś go i wzbudziłaś jego zainteresowanie. Musisz teraz rozsądnie rozegrać tę partię. Radzę ci, nie postępuj niemądrze!

Zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze, powóz podjechał pod pałac przy Berkeley Square, a służący pospiesznie rozwinęli przed drzwiami czerwony chodnik.

Idona udała się na górę do swojej sypialni. Cały czas myślała z rozpaczą, że nikt nie potrafi jej zrozumieć. Jakkolwiek świetną partią był hrabia Buckcliff, nie chciała zostać jego żoną.

Tak naprawdę, wiedziała że nie znosi tego człowieka.

Jednak następnego ranka problem, przynajmniej na jakiś czas, rozwiązał się sam.

W nocy nie mogła spać, gdyż cały czas zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby odmówić hrabiemu towarzystwa w przejażdżce, tak by jednocześnie nie urazić markizy.

Po śniadaniu przyniesiono ogromny kosz pełen orchidei, w którym Idona znalazła krótki liścik.

Proszę mi wybaczyć, Piękna Pani, że nie będę mógł zaprosić Pani na przejażdżkę dziś po południu. Zapomniałem, że już wcześniej obiecałem pojechać z Jego Królewską Mością do Wimbledonu.

Jednocześnie mam ogromną nadzieję, że przyjmie mnie Pani łaskawie, gdy jutro o drugiej zjawię się w Pałacu Wroxham.

Do zobaczenia.

W pełni oddany Pani

Buckcliff

Przeczytawszy list, Idona odetchnęła z ulgą, a kosz pełen orchidei zostawiła w hallu.

Po południu pojechała na spacer z markizą i dowiedziała się, że tej nocy nikt nie urządza żadnego przyjęcia i dlatego kolację zjedzą w domu.

Na wieczór chciała założyć jedną z nowych ślicznych sukien. Ta, którą wybrała, nie była tak bogato zdobiona, jak srebrzysty strój, w którym ubiegłej nocy wystąpiła na balu. Przebierała się właśnie, gdy do pokoju weszła lady Rosebel i swoim zachowaniem dała znać niani, że pragnie porozmawiać z Idoną w cztery oczy.

- Posłuchaj, chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła - zaczęła.

- Oczywiście! - zgodziła się Idona. - W czym mogę ci pomóc?

Lady Rosebel rozejrzała się dookoła, jakby obawiając się, że ktoś może podsłuchiwać, a potem powiedziała cichym głosem:

- Po kolacji powiem, że jestem zmęczona i chcę się wcześniej położyć spać. Na pewno nikt się nie zdziwi. Markiza też nie będzie siedzieć do późna w nocy, a jego lordowska mość z pewnością sam pójdzie się gdzieś zabawić.

Idona ciekawa była, co nastąpi, więc lady Rosebel mówiła dalej:

- Gdy nikogo nie będzie już w pałacu, chcę abyś przyszła do mojego pokoju i spała w moim łóżku, dopóki nie wrócę!

- Dopóki nie wrócisz? - zdziwiła się Idona. - Dokąd się wybierasz?

Lady Rosebel najwyraźniej nie chciała poruszać tego tematu.

- To moja sprawa! - odrzekła. - Proszę, Idono, zrób to dla mnie! Jest ktoś, kogo pragnę zobaczyć... kogo muszę zobaczyć! Jednak gdyby markiz dowiedział się o tym, byłby bardzo niezadowolony, nie mówiąc zresztą o jego babce.

Idona spojrzała na lady Rosebel ze zdziwieniem w oczach, a potem spytała:

- Czy ten dżentelmen, z którym masz się spotkać, jest w jakiś sposób... niezwykły?

- Bardzo, bardzo niezwykły! I muszę się z nim spotkać dzisiejszej nocy! Boję się tylko, że lady Dowager, która wszędzie węszy jakiś podstęp, zajrzy do mojego pokoju, żeby się upewnić, czy tam jestem, albo ta jej służąca, która ciągle plotkuje, znajdzie jakiś sposób by stwierdzić, że moje łóżko jest puste.

Idona była zaskoczona słowami Rosebel, słuchała jednak dalej.

- Nie jesteś tu na tyle długo, aby wiedzieć o wszystkich intrygach, które mają miejsce w tym domu. Sholto może oczywiście robić wszystko co tylko zechce, tyle że on jest mężczyzną! Ponieważ jednak markiza sądzi, iż nie jestem wystarczająco dobrą partią dla jej wnuka, stale próbuje przyłapać mnie na czymś!

- Ale... przecież masz go poślubić!

- Zgadza się. Mam zostać jego żoną! - odparła szybko Rosebel. - Tak jak ci mówiłam, chcę nosić klejnoty należące do rodziny Wroxham, a poza tym wśród całej arystokracji nie ma człowieka, który zajmowałby tak wysoką pozycję, a do tego był tak bogaty jak Sholto!

Nastąpiła cisza, lecz po chwili Idona odezwała się niepewnym głosem:

- Wydaje mi się..., choć możesz uważać, że z mojej strony to impertynencja... że kochasz... kogoś innego.

Bała się, że lady Rosebel może być na nią wściekła. Ona jednak uśmiechnęła się, a w jej oczach błysnęły radosne iskierki.

- Och, Idono, nie masz pojęcia jak jest wspaniały i jak cudownie jest być przy nim - powiedziała.

- W takim razie dlaczego nie chcesz go poślubić?

- Jest biedny, więc chociaż mam trochę własnych pieniędzy i dostanę jeszcze więcej po śmierci papy, to wciąż będzie dla nas za mało!

Rozłożyła dłonie i dodała:

- Nie mogę przecież oszczędzać i odmawiać sobie wspaniałych strojów, w których ludzie będą mnie podziwiać. Jakże mogłabym siedzieć gdzieś na wsi i niańczyć dzieci, zamiast zabawiać się w klubie St. James.

- Jeśli go kochasz, to powinno ci wystarczyć.

- O nie! - krzyknęła głośno Rosebel. - On mówi mi to samo, a teraz jeszcze ty chcesz mnie kusić. Tak czy inaczej, muszę go zobaczyć! To okropne, być uwięzowaną w tym domu, gdzie wszyscy płaszcą się przed Sholto, jakby był szachem Persji. Muszę spotkać się dzisiaj z Justynem.

Idona nie wyrzekła ani słowa, natomiast lady Rosebel mówiła dalej:

- Proszę, błagam, zrób to dla mnie! Prawdopodobnie niczego nie będą podejrzewać, ale w takim domu jak ten nigdy nic nie wiadomo. Chociaż dałam łapówkę jednemu z odźwiernych, boję się, że może wszystko wypaplać którejś z pokojówek, a wtedy plotka rozniosłaby się po domu z prędkością błyskawicy!

Na moment przerwała, lecz po chwili znowu zaczęła prosić:

- Idono, błagam, pomóż mi. Gdybyś kiedykolwiek znalazła się w podobnej sytuacji, możesz na mnie liczyć.

- Mam nadzieję, że nigdy nie będę w podobnej sytuacji - odparła Idona. - Ale wszyscy będą się gniewać, jeśli to się wyda!

- Nic się nie wyda! - odrzekła Rosebel. - Musisz tylko wejść do mojego łóżka i zasunąć zasłony tak dokładnie, jak to tylko możliwe. Jedyne światło w pokoju pochodzić będzie z kominka.

- Co się stanie, jeśli ktoś przyjrzy się dokładniej i rozpozna kolor moich włosów?

- Zobaczą tylko, że ktoś leży w łóżku - stwierdziła z przekonaniem Rosebel. - Możesz być pewna, że są bardzo ostrożni i nie chcą, abym spostrzegła, że mnie szpiegują. Ja jednak dobrze o tym wiem i chociaż doprowadza mnie to do furii, nie mogę nic na to poradzić.

- Dobrze cię rozumiem - odrzekła Idona. - Przemknę do twojego pokoju, gdy tylko stwierdzę, że nikogo nie ma w pobliżu.

Rosebel zarzuciła jej ramiona na szyję i mocno ją ucałowała.

- Jesteś aniołem! - powiedziała. - Nigdy ci tego nie zapomnę. Któregoś dnia, gdy będziesz zakochana, zrozumiesz co teraz czuję.

Wymknęła się szybko z pokoju, a niania wróciła, by pomóc Idonie się przebrać.

- Czego tym razem chciała jaśnie pani? - spytała.

- Dlaczego wydaje ci się, że czegoś chciała? - zainteresowała się Idona.

- Z tego co słyszę, to niezłe ziółko - stwierdziła niania. - Zawsze próbuje coś wykombinować! Dobry Boże, jego lordowska mość będzie miał mnóstwo kłopotów, jeśli kiedykolwiek się z nią ożeni.

Idona wcale nie była zdziwiona tym, że niania wie o planowanym małżeństwie markiza.

Pamiętała, co kiedyś powiedziała jej matka:

- Służący wiedzą wszystko i nie ma sposobu, żeby cokolwiek przed nimi ukryć.

- Czy masz jakieś powody, aby sądzić, że jego lordowska mość ożeni się z lady Rosebel? - spytała z ciekawością Idona.

- Będzie miała szczęście, jeśli uda jej się go zdobyć! - odrzekła niania. - Nazywają go „Wykrętnym Kawalerem”, tak przynajmniej mówił jego lokaj. Wszystkie panny i mężatki próbują go uwieść, i to podobno już od czasu gdy skończył szkołę.

Niania podeszła do szafy, jakby miała wrażenie, że powiedziała zbyt dużo.

W tej samej chwili Idona poczuła dziwne przygnębienie, a światła w pokoju jakby nieco przygasły w jej oczach.

- To dlatego, że nie wiem co począć - powiedziała do siebie. Wiedziała jednak, że chodzi tu o coś innego.

Rozdział 6

Idona nie spodziewała się, że tak miło spędzi wieczór. Cały czas czuła przecież obawę przed tym, co miała zrobić dla Rosebel.

Markiz zaprosił na kolację dwóch przyjaciół, toteż przy stole siedziało teraz tyle samo mężczyzn, co kobiet. Cały czas żartowali, śmiali się i wesoło przekomarzali ze sobą.

Idona znowu miała wrażenie, że ogląda dowcipną, zabawną komedię, jedną z tych, które kiedyś czytała razem z matką.

Gdy lady Dowager wstała od stołu z zamiarem udania się w towarzystwie pań do salonu, Rosebel ziewnęła ostentacyjnie, po czym oznajmiła wszystkim:

- Jestem zmęczona! Po tylu męczących nocach mogę wreszcie położyć się spać przed wschodem słońca.

- Pamiętam jak kiedyś mówiłaś, że chodzenie spać przed świtem to zwykła strata czasu.

- Byłam wtedy trochę młodsza - Rosebel zarumieniła się i oparłszy dłonie na sofie, zamknęła oczy, udając ogromne zmęczenie.

Idona miała wrażenie, że trochę przesadza.

Chciała właśnie odezwać się do markizy, kiedy nagle lady Dowager wyjęła z torebki niewielką karteczkę.

- Nie wiem, czy widziałaś, Idono - powiedziała - ale w hallu stoi ogromny bukiet orchidei, które przysłał ci hrabia Buckcliff.

Idona zarumieniła się.

- Tak, madam, wiem o tym. Dostałam również list.

- List? - powtórzyła lady Dowager. - Cóż takiego pisze nasz hrabia?

- Ten list... jest na gorze - odrzekła niepewnym głosem Idona.

Markiza spojrzała na bilecik, który trzymała w dłoni, a potem stwierdziła:

- Cóż, to całkiem jasne.

Zamilkła na moment, a potem przeczytała głośno:

- Dla Czarodziejki, która jest Panią mego serca.

Rosebel szeroko otworzyła oczy.

- To brzmi jak wyznanie - stwierdziła

- Jest więc tak, jak myślałam - odrzekła markiza. - Idono, jesteś znacznie sprytniejsza niż się spodziewałam. Nic tak nie podnieca mężczyzny, jak kobieta, która wymyka mu się sprzed nosa. Oczywiście, nie można uciekać zbyt daleko.

Markiza i Rosebel zaśmiały się, Idona natomiast oświadczyła:

- Nie chcę orchidei od hrabiego i uważam, że po tak krótkiej znajomości nie powinien pisać... do mnie tak... jakbyśmy od dawna byli przyjaciółmi.

Markiza położyła bilecik na małym wypolerowanym stoliku.

- Ależ dziecino - zwróciła się do Idony - musisz zrozumieć, że konwenanse, które obowiązują na prowincji, w Londynie mogą być łamane, szczególnie w przypadku kogoś, kto jest tak wysoko postawiony jak hrabia.

- Ma pani całkowitą rację - wtrąciła się Rosebel, zanim Idona zdążyła wykrztusić z siebie choć słowo. - Pomyśl tylko, będziesz właścicielką jednego z najwspanialszych pałaców w Anglii, prawie równie pięknego jak ten, który należy do Sholto. Poza tym słyszałam, że klejnoty Buckcliffów są naprawdę niezwykle!

- Rzeczywiście, masz rację - zgodziła się markiza- Pamiętam jak poprzednia żona hrabiego po raz pierwszy pojawiła się w pałacu Carlton. Miałam wrażenie, że ugina się pod ciężarem diademu, a poza tym cała błyszczała od drogocennych kamieni, prawie jak świąteczna choinka.

Słuchając ich Idona pobladła. Ściskając palce, zwróciła się do markizy:

- Proszę, madam... musi mnie pani wysłuchać.

- Dobrze wiem, co usłyszę - odrzekła markiza. - Jeśli będziesz opowiadać takie głupstwa, jak wczoraj, gdy wracałyśmy z pałacu Devonshire, naprawdę się rozłoszczę!

- Nie, proszę się nie gniewać - błagała Idona. - Nie chcę w żaden sposób zachęcać hrabiego Buckcliffa do dalszych starań, a jeśli pani robi to w moim imieniu, to cała ta sytuacja... jeszcze bardziej się... skomplikuje.

- Ja nie muszę go zachęcać - odrzekła po chwili markiza. - Jestem jednak całkowicie pewna, że hrabia już wkrótce poprosi mojego wnuka o twoją rękę. Sholto jest według prawa twoim opiekunem i wątpię, żeby miał coś przeciwko temu małżeństwu.

Idona miała wrażenie, że ktoś kładzie jej na piersi ciężki, przygniatający kamień.

Nikt nie musiał jej przekonywać, że lady Dowager ma rację, a markiz z radością skorzysta z tak świetnej okazji pozbycia się jej.

Rozpaczliwie szukała jakiegoś wyjścia z tej sytuacji, natomiast markiza, uznając jej milczenie za zgodę, powiedziała:

- Jeśli poślubisz hrabiego, nie będę musiała troszczyć się o twoją wyprawę, tym bardziej że wydaliśmy już mnóstwo pieniędzy na suknie i ozdóbki, abyś miała w czym wystąpić na swoim pierwszym balu.

- A kiedy wyjdiesz za mąż - dorzuciła podnieconym głosem Rosebel — jestem pewna, że hrabia zabierze cię do Paryża. Już teraz wszyscy się tam wybierają. Będziesz mogła kupić

wspaniałe stroje i zobaczyć miasto, które do czasów Napoleona było światową stolicą rozrywki.

- Sir Charles Stuart mówił mi ostatniej nocy, że wszystko wraca tam do normy - odrzekła markiza. - Tak, jestem pewna, że Aiden Buckcliff zabierze Idonę do Paryża. Będzie jak anioł wśród tych ciemnoskórych Francuzek. Już wczoraj w nocy hrabia stwierdził, że wygląda tak, jakby przybyła na ziemię z jakiejś odległej gwiazdy.

Rosebel wybuchła śmiechem.

- Czy naprawdę tak się wyraził, madam? Ależ to zabawne! Idono, jesteś naprawdę sprytną dziewczyną! Zawróciłaś mu w głowie! Mnie nigdy nie powiedział najmniejszego komplementu!

Markiza spojrzała na nią krytycznym wzrokiem, a potem stwierdziła:

- Widzisz, Rosebel, cały problem w tym, że to ty gonisz za mężczyznami. Mówiłam ci już kiedyś, że oni lubią sami urządzać polowanie. Choć byłam zła, że Idona uciekła przed Buckcliffem, musiało go to zaintrygować do tego stopnia, że w końcu się w niej zakochał.

- Nie... nie - szeptała cicho Idona, wiedząc, że nikt jej nie słucha.

Rosebel i markiza mówiły o tym, jak wysoką pozycję zajmie wśród arystokracji, a książę regent, jako bliski przyjaciel hrabiego, na pewno zechce wydać przyjęcie weselne w pałacu Carlton. Poza tym będą jej przysługiwać różne tytuły i funkcje na dworze królewskim. Od trzech stuleci wszystkie te przywileje należały się właśnie hrabinie Buckcliff.

Idona czuła, jak strach, który zrodził się w jej sercu wczorajszej nocy, gdy hrabia próbował ją pocałować, narasta w niej teraz niczym potężna fala na wzburzonym morzu.

Jeszcze raz poczuła oplatające ją ramiona i jego usta dotykające jej delikatnych policzków.

Wiedziała, że boi się go nie dlatego, że jest mężczyzną. Po prostu nie podobał się jej, wydawał się wręcz odrażający.

Było w nim coś z podstępnego, śliskiego gada, coś co sprawiało, że na samą myśl o tym człowieku kuliła się w sobie.

Przeszło jej przez myśl, że wolałaby raczej umrzeć, niż pozwolić na to, by jeszcze raz ją dotknął.

- Cóż mogę zrobić? Cóż mogę począć? - pytała samej siebie.

Gdy po chwili do pokoju wszedł markiz z dwoma towarzyszami, stwierdziła, że myśli nie tylko o sobie, ale również o Rosebel.

- Długo was nie było - powiedziała Rosebel. - Właśnie idę położyć się do łóżka.

- Do łóżka? - spytał zdziwiony markiz. - Czyżbyś była chora?

- Nie, jestem tylko trochę zmęczona.

- Pierwszy raz słyszę coś takiego z twoich ust - stwierdził suchym tonem markiz.

- To chyba starość - roześmiała się Rosebel. - Wydaje mi się, że powinnam czym prędzej udać się w objęcia Morfeusza, gdyż w przeciwnym razie zasnę tutaj, w obecności twoich gości, a to mogłoby być źle przyjęte.

- Ponieważ tak wspaniale dobierasz słowa - odparł sarkastycznym tonem markiz - nie mogę stać ci na drodze.

Rosebel ziewnęła i podnosząc się z sofy, rzekła:

- Wiem, że jutro jest następny bal. Obiecuję być zabójczo piękna i tańczyć z wami dopóty, dopóki słońce nie stanie wysoko, wysoko na niebie.

Rzuciła dżentelmenom kokieteryjne spojrzenie, uśmiechnęła się delikatnie i dodała:

- Nie zapomnij, Charles, obiecałam ci pierwszego walca. Nikt nie tańczy walca lepiej niż ty.

- Stałaś się ostatnio niezwykle uprzejma - odparł dżentelmen. - Oczywiście, czuję się uhonorowany. Będę liczył godziny, które dzielą nas od tego tańca!

Rosebel podała mu dłoń, którą ucałował.

Potem powiedziała „dobranoc” markizie, a gdy żegnała się z Idoną, znaczącym gestem uścisnęła jej ramię.

Markiz odprowadził ją do drzwi, lecz zanim zdążył je otworzyć, Rosebel objęła go, mówiąc:

- Gdybyś naprawdę za mną tęsknił i powiedział to trochę inaczej niż przed chwilą, mogłabym z wami zostać.

Idona, słysząc jej słowa, wstrzymała oddech. Wiedziała, że Rosebel tylko odgrywa swoją scenkę i przyjęcie przez markiza tej propozycji spowodowałoby wiele dodatkowych kłopotów.

On natomiast odparł żartobliwym tonem:

- Lepiej idź spać. Na widok śpiących kobiet sam zaczynam ziewać.

Rosebel udała, że słowa markiza przeraziły ją.

- Nie mogę do tego dopuścić! Lepiej wróć i porozmawiaj z Idoną, dopóki jeszcze masz szansę. Ten ognisty hrabia bardzo chce ją zdobyć i prawdopodobnie zabierze ją nam wcześniej, niżby się ktokolwiek spodziewał!

Markiz nic nie odpowiedział, jednak gdy podszedł do kominka, gdzie siedziała cała reszta towarzystwa, Idona spostrzegła, jak zmarszczył czoło.

- O co chodzi z tym Buckcliffem? - zwrócił się do markizy.

Lady Dowager wręczyła mu w odpowiedzi bilecik, który hrabia dołączył do bukietu orchidei.

Serce Idony zabiło szybciej, gdy wziął go do ręki. Bała się, była pewna, że markiz się rozgniewa.

Czytał bardzo powoli, jakby chciał zrozumieć każde słowo.

Nagle zrobił krok w stronę kominka i wrzucił bilecik do ognia.

- Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? - spytała lady Dowager.

- Uważam - stwierdził wyniosłym głosem markiz - że uczciwy człowiek nie stara się załatwiać wszystkiego na gwałt.

- Jeżeli chcesz przez to powiedzieć, że hrabia działa zbyt szybko - odparła markiza - to mogę tylko stwierdzić, że dziewczyna, która odmawia jednemu z najbogatszych i najdostojniejszych dżentelmenów wśród całej arystokracji, musi być niespełna rozumu!

Idona wiedziała, że markiza broni jej interesów. Poczowała, jak rumieniec napływa jej do twarzy.

Gdy zastanawiała się, jak ukryć zmieszanie, markiz zapytał jednego z towarzyszy:

- Czy zechcesz zagrać ze mną w bilard, Charles?

- Z miłą chęcią!

Markiz zwrócił się ponownie w stronę lady Dowager.

- Na pewno wkrótce położysz się spać, babciu - powiedział - dlatego życzę ci dobrej nocy.

Ucałował ją w policzek, a potem razem z Charlesem skierował się w stronę drzwi. Drugi mężczyzna dołączył do nich.

- Mogę być sędzią - oznajmił - i oczywiście zajmę się liczeniem stawek.

Po ich wyjściu markiza spojrzała na Idonę.

- Oczywiście, nie jesteśmy aż tak atrakcyjne jak kule na stole bilardowym!

Mówiąc te słowa, podniosła się z fotela.

- Bardzo chciałabym położyć się już do łóżka - rzekła Idona. - Na wsi chodzi się spać i wstaje o zupełnie innych porach, dlatego dziś rano czułam się niewyspana.

- Przyzwyczaisz się - odparła lady Dowager.

Powoli weszły na górę i udały się do swoich sypialni.

Idona rozebrała się z pomocą niani, a potem wskoczyła do łóżka i zaczęła z niepokojem zastanawiać się, czy nadszedł już czas, żeby prześlizgnąć się do sypialni Rosebel.

Nie mogła mieć pewności, ale wydawało jej się, że Rosebel do tego czasu zdążyła już wymknąć się z domu.

Markiz nie wyszedł wieczorem z pałacu, tak jak spodziewała się jego narzeczona. Przebywał jednak w sali bilardowej, od strony ogrodu i dlatego nie mógł wiedzieć o nocnej wyprawie swojej przyszłej żony.

Idona bała się. Wiedziała, że jeśli zawiedzie Rosebel, będzie miała poczucie winy. Z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że nie powinna oszukiwać markiza, który okazał jej tyle uprzejmości.

Zastanawiała się, jak wygląda amant Rosebel. Nie mogła zrozumieć, dlaczego kochając go tak bardzo, ta młoda, inteligentna kobieta nie potrafi okazać na tyle odwagi, by stawić czoła wszelkim trudnościom, a nawet biedzie.

Wiedziała, że nie byłoby to tak wielkie ubóstwo, jakiego zaznali jej ojciec i matka, chociaż na pewno nowe życie Rosebel nie mogłoby się równać z luksusem, jaki może dać jej markiz.

Gdy myślała o narzeczonej markiza, przypomniało jej się wszystko, co słyszała o hrabi.

Dobrze wiedziała, że nawet pałace, konie i wszystkie klejnoty świata nie mogą sprawić, aby przestał wydawać się jej odrażający.

Ponieważ czuła ogromne napięcie i nie mogła się odprężyć, wyjrzała ostrożnie za drzwi, aby zobaczyć, czy korytarz jest pusty i sprawdzić, czy we frontowej części pałacu panuje cisza.

Bezgłośnie, boso i w samej koszuli przemknęła się do sypialni Rosebel.

Tak jak się spodziewała, nie było tam nikogo, jedynie ogień palił się w kominku. Idona spostrzegła, że łóżko jest zaścielone, a nocna koszula leży na pościeli tak, jak przygotowała ją służąca.

Rosebel mówiła, że zostawiła swoją pokojówkę w domu rodziców i spodziewa się jej dopiero jutro.

Idona pomyślała, że z pewnością właśnie dlatego Rosebel tak bardzo chciała spotkać się ze swoim ukochanym dzisiejszej nocy.

Złożyła koszulę i położyła ją na krześle. Gdyby ktoś wszedł do pokoju i zobaczył leżącą na łóżku koszulę, mógłby się zdziwić, dlaczego Rosebel nie ubrała się w nią do spania.

Dokładnie zasunawszy zasłony po obydwu stronach łóżka, Idona zdmuchnęła świecę i weszła pod kołdrę.

Łóżko wydało jej się bardzo wygodne, a puchowe poduszki były miękkie niczym letnie obłoki.

Idona leżała na boku, odwrócona tyłem do drzwi. Naciągnęła kołdrę wysoko i była pewna, że gdy ogień nieco przygaśnie, nikt, kto zajrzy do pokoju, nie domyśli się, że w łóżku zamiast Rosebel leży zupełnie inna osoba.

Zaczęła myśleć o markizie. Zastanawiała się, czy byłby szczęśliwy z Rosebel, nawet jeśliby ją kochał.

Wyczuwała podświadomie, że jeśli to rzeczywiście jest miłość, to z pewnością nie taka, jaką ona pragnęła znaleźć, nie taka, jaka łączyła jej rodziców.

Jednocześnie, z jakichś niezrozumiałych powodów, nie chciała, by był nieszczęśliwy. Wiedziała, że tak się stanie, jeśli poślubi kobietę, która kocha innego mężczyznę.

- Był dla mnie bardzo dobry, naprawdę bardzo dobry - mówiła do siebie. - Chciałabym, aby znalazł kogoś, kto pokocha go takim, jakim jest, nie tylko dlatego, że ma tytuł markiza, że jest bardzo bogaty.

Przecież pod jego sarkazmem i cynizmem ukryte jest dobre serce.

Nie wiedziała, skąd ma taką pewność, pamiętała jednak, że zrozumiał uczucia, jakie żywiła dla Adamów, Neda, niani, starych ludzi z wioski i oczywiście dla jej ukochanego domu.

Ciągle jeszcze bała się, że Clarice Clairmont przyjmie ten podarunek i do jej domu zaczną przyjeżdżać dziwni ludzie o podejrzanym reputacji, którzy z pewnością będą się opijać i niszczyć skarby należące kiedyś do matki.

Już widziała swoich dostojnych przodków, jak z portretów patrzą na to wszystko z dezaprobatą w oczach.

Zastanawiała się, czy markiz znalazł już dom w Chelsea, tak jak obiecał Clarice. Ciekawa była, czy często będzie ją tam odwiedzał i czy naprawdę wolał przebywać z nią, niż z Rosebel.

Nie mogła pojąć, jak mógł mieć jednocześnie dwie kobiety. Wydawało jej się to czymś bardzo dziwnym.

W swojej niewinności myślała, że być może mężczyzna dodaje sobie powagi przez to, że opiekuje się słynną aktorką. Miała wrażenie, że to coś takiego, jak posiadanie konia, który wygrał kilka wyścigów, a teraz wzbudza powszechny podziw i zazdrość.

Wiedziała jednocześnie, że na miejscu Rosebel nie zgodziłaby się na to, by jej narzeczony - przyszły mąż interesował się jakąś inną kobietą.

- Podejrzewam, że moje poglądy są bardzo staroświeckie i prowincjonalne - pomyślała Idona zasypiając.

Obudził ją jakiś szmer. Otworzyła oczy, czując niebezpieczeństwo.

Była pewna, że słyszy, jak ktoś naciska klamkę i wiedziała, że jeśli to nie markiza, to bez wątpienia jej służąca przyszła sprawdzić, czy Rosebel śpi w swoim łóżku.

Zmusiła się do tego, by leżeć bez ruchu z zamkniętymi oczami.

Jej serce zabiło szybciej, gdy zdała sobie sprawę, że ktoś zbliża się w jej kierunku.

Pomyślała, że jeśli to faktycznie służąca markizy, to jest to z jej strony impertynencja. Nic jednak nie mogła na to poradzić.

Zacisnęła mocno powieki i miała nadzieję, że ogień przygasa już na tyle, że nawet z bliska nie będzie można zobaczyć, czyjej włosy są jasne, czy rude.

Po chwili przerażona zdała sobie sprawę, że ten ktoś, kto przed chwilą wszedł do pokoju, stoi teraz przy łóżku i wpatruje się w nią.

Czuła, jak serce wali jej w piersi, jednak miała nadzieję, że intruz, kimkolwiek jest, zobaczy, że śpi i wyjdzie z pokoju.

Nagle ktoś usiadł na brzegu łóżka. Oddychała szybko nie mogąc opanować ogarniającego ją przerażenia. Poczwała na swoich ramionach dłonie.

Wiedziała już, kim jest ten człowiek i poczuła, jak przeszywa ją strach.

Zanim zdążyła pomyśleć, co mogłaby zrobić, zanim zdążyła złapać powietrze, usta markiza przywarły do jej warg.

Przez chwilę wydawało jej się, że to wszystko jest tylko snem.

Czując jego wargi na swoich ustach, pomyślała, że musi się bronić, jednak nie miała jak tego zrobić.

Jej ręce skryte były pod kołdrą, a on z całej siły trzymał ją za ramiona, tak że nawet nie mogła się poruszyć. Jego wargi tak mocno wpiły się w jej usta, że nie była w stanie nic powiedzieć i prawie przestała oddychać.

Najpierw całował ją delikatnie, potem, gdy poczuł miękkość i niewinność jej ust, pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny.

Czuła, że musi go jakoś powstrzymać, nie wiedziała jednak, jak to uczynić.

Leżał blisko niej, a ona miała dziwne uczucie, że kamień, który od wieczora ciążył jej na sercu, nagle po prostu zniknął.

To było tak, jakby wstąpiło w nią nowe życie, którego wcześniej nie znała.

Podobnie czuła się, gdy patrzyła na gwiazdy albo spacerowała po lesie, wiedząc że nie jest sama, że dookoła niej pełno jest wróżek, elfów, bajkowych rycerzy i smoków.

A jednak to uczucie było bardziej intensywne, żywsze i wspanialsze niż wszystko, co dotychczas sobie wyobrażała.

Usta markiza zdawały się płonąć przedziwnym ogniem. Miała wrażenie, że płomień ogarnia jej ciało, piersi, usta. Łączył ich nie tylko pocałunek, ale również ten niepojęty ogień, który był jak pełnia życia, jak samo Życie.

W jakiś cudowny sposób markiz zahipnotyzował ją tym pocałunkiem.

Nie próbowała się poruszyć, czuła jednak, że jej ciało pulsuje przepełnione radością i uniesieniem. Słyszała wokół siebie cudowną muzykę, słodką jak wieczorna pieśń słowików.

Nagle kawałek płonącego węgla przesunął się w kominku, a płomienie skoczyły w górę, oświetlając pokój jasnym blaskiem. Markiz uniósł głowę.

Przez sekundę, która wydawała się wiecznością, Idona patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami. Dopiero po chwili udało jej się wykrztusić nieswoim głosem:

- P... Przepraszam... Nie jestem... Rosebel!
- Przecież widzę! - odparł markiz. - W takim razie, co pani robi w jej łóżku?

Mówiąc to usiadł i rozluźnił palce na jej ramionach.

Wydawał się teraz bardzo wysoki. W świetle kominka widziała jego surowe spojrzenie.

- Bardzo... przepraszam... Proszę... mi wybaczyć.

Kiedy jednak dostrzegła, jak jego usta lekko wygięły się w uśmiechu, tknęło ją dziwne przeczucie. Zrozumiała, że markiz tylko udaje zdziwienie, że tak naprawdę wcale nie jest zaskoczony jej obecnością w sypialni Rosebel.

- Pan... wiedział! - rzuciła oskarżycielskim tonem. - Wiedział pan... że to ja... jeszcze... zanim mnie pan... pocałował.

Po krótkiej pauzie markiz odrzekł:

- Być może podejrzewałem...
- W takim razie... nie miał pan prawa... robić tego... co pan zrobił!

Ponieważ trudno było zrozumieć, co mówi, markiz oświadczył:

- Jeśli występuje pani w roli tej młodej kobiety, która ma zamiar mnie poślubić, to musi pani ponosić wszelkie konsekwencje.

Idona nie do końca pojmowała, o czym mówi, W jej sercu obudziła się nadzieja, a jej ciało ogarnęły dziwne dreszcze niewysłowionej radości.

Jednocześnie miała wrażenie, iż markiz pogardza nią i potępia za to, co zrobiła. Czuła, że do oczu napływają jej łzy.

To było tak, jakby nagle spadła z gwiazd na ziemię i nie mogła znieść powrotu do rzeczywistości.

Oparła się o poduszkę, mówiąc:

- Nawet jeśli zrobiłam... coś złego... mógł pan... obudzić mnie.
- Wydaje mi się, że obudziłem panią z dobrym efektem - odparł markiz, a Idona wiedziała, że z niej drwi.

Nastąpiła cisza. Dopiero po chwili wyjęła ręce spod kołdry, złożyła dłonie i spytała:

- Czy jest pan... bardzo zły... na Rosebel?

- Z Rosebel porozmawiam jutro - odparł markiz ponurym tonem.
- Ach, proszę - błagała Idona - Niech pan się na nią tak bardzo nie gniewa! Zaufała mi...

Miałam robić tak... żeby nikt się nie dowiedział... że wyszła... ale... nie udało mi się... To moja wina.

Miała wrażenie, że markiz jej nie słucha, lecz po chwili usłyszała pytanie:

- Czy nikt nigdy pani nie całował?
- Nie... Oczywiście że nie!
- Stąd tak gwałtowna reakcja! — wykrzyknął markiz, a Idona usłyszała w jego głosie

nutkę sarkazmu. - Większość młodych kobiet lubi pocałunki.

Idona przypomniała sobie, jak hrabia Buckcliff próbował pocałować ją ostatniej nocy i na samo wspomnienie tej chwili zaczęła się trząść.

- Niech pani o tym zapomni! - powiedział ostrym głosem markiz.
- Chciałabym.,, ale... on mnie przeraża!
- Porozmawiamy o tym jutro - odrzekł markiz. - Myślę, że teraz powinna pani wrócić do

własnej sypialni i spać spokojnie do rana.

- Ale... Ros... - zaczęła Idona, jednak wiedziała, że jej nocna wyprawa została ujawniona i teraz nic już nie da się na to poradzić.

Spojrzała na markiza, mówiąc:

- Wrócę... jeśli pan uważa, że powinnam... ale proszę... niech pan wyjdzie wcześniej... albo... niech się pan odwróci...

Miała wrażenie, że markiz nie rozumie, o co jej chodzi, zaczęła więc tłumaczyć:

- Przyszłam tutaj... w samej koszuli nocnej.

Przez chwilę wydawało jej się, że markiz będzie się śmiał, ale on siedział spokojnie na brzegu łóżka, wpatrując się w nią, aż w końcu powiedział:

- Jest pani za młoda, aby wikłać się w tego rodzaju intrygi, kłamstwa i podstępny, w wyniku których zazwyczaj ktoś musi ucierpieć.

Pomyślała, że gani jej niewłaściwe zachowanie. Spojrzała więc na niego błagalnym wzrokiem i powiedziała:

- Mówiłam panu... że powinnam zostać na wsi... że będę popełniać błędy... i robić rzeczy... które są źle widziane... tu w Londynie.

Markiz nieoczekiwanie uśmiechnął się.

- Uważam, że jak na razie odnosi pani same sukcesy - stwierdził. - Tak naprawdę to nawet trochę zbyt duże sukcesy!

Pomyślała, że nawiązuje do hrabiego Buckcliffa i zastanowiła się, czy nie mogłaby poprosić go, by chronił ją przed zalotami tego człowieka.

Przypomniała sobie jednak, że obiecał porozmawiać o tym jutro. Z pewnością nie miał ochoty wdawać się teraz w długie i męczące dyskusje.

Miała wrażenie, że markiz domyśla się o czym myśli, on natomiast podniósł się i podszedł do jednego z okien.

Odsunął zasłony i przyglądał się drzewom przy Berkeley Square. Ich wczesne, wiosenne liście srebrzyły się w świetle księżyca.

Idona zwinnym ruchem wyskoczyła z łóżka, przemknęła przez pokój i otworzyła drzwi. Spojrzała za siebie.

- Dobranoc, milordzie - powiedziała. - Przepraszam... bardzo przepraszam, że zrobiłam coś... co pana zdaniem jest... niewłaściwe.

Zanim zdążył odpowiedzieć, szybko pobiegła boso do swojej sypialni.

Ogień w kominku powoli przygasał, a Idona skuliła się pod kołdrą czując, że znowu budzi się w niej to dziwne uniesienie, które towarzyszyło pocałunkom markiza.

- A więc tak czuje się kobieta w czasie pocałunku - myślała. - Dlaczego nikt wcześniej nie powiedział mi, że to takie cudowne... niesamowite wrażenie.

Przyszło jej do głowy, że tak właśnie musieli się czuć jej rodzice. Byli przecież tak szczęśliwi, że cały dom wypełniał się przy nich promienistym blaskiem.

Wreszcie znalazła odpowiedź na swoje pytanie. Taką radość może dać jedynie pocałunek dwojga kochających się ludzi.

Przez chwilę nie mogła uwierzyć, że to prawda.

Nagle, jakby czytając słowa wypisane blaskiem ognia na ścianie pokoju, zrozumiała, że kocha markiza.

To właśnie miłość uniosła ich razem do nieba, tak że ujrzała wszystko, co najpiękniejsze na świecie i usłyszała muzykę płynącą prosto z serca.

To właśnie miłość sprawiła, że poczuła niewysłowioną ulgę, gdy po zmaganiach z hrabią wtuliła się w ramiona markiza.

Kochała go wczorajszej nocy w altance i prawdopodobnie już wtedy, gdy uratowała go przed rozbójnikami. Kierowało nią jakieś dziwne, podświadome uczucie, że to właśnie on jest człowiekiem, którego obdarzy miłością.

- Skąd mogłam wiedzieć... Jak mogłam się domyślać? - pytała. - Skąd mogłam wiedzieć, że pokocham kogoś o takiej pozycji... takim znaczeniu jak on?

Uzmysłowiła sobie, że całe jej ciało drży, że jej serce przepęłniają uczucia, jakich nigdy wcześniej nie знаła, i wtedy przypomniała sobie, iż markiz ma poślubić Rosebel.

Ta myśl była jak ciemna chmura, która przesłania słońce. Miała wrażenie, że lodowata ręka ściska jej serce, a ono przestaje bić.

Usiadła na łóżku, opierając się o poduszkę.

- Nie mogę tu zostać. Nie mogę codziennie na nich patrzeć - myślała.

Wiedziała, że lady Dowager będzie nalegać, aby przyjęła oświadczyny hrabiego Buckcliffa.

Dla markiza będzie to wspaniała okazja. Nie ma najmniejszego powodu, dla którego miałby odmówić hrabiemu ręki swojej podopiecznej.

Cały czas była przekonana, że markiz nie interesuje się nią, a pocałunek miał być karą za spiskowanie z Rosebel. Jej serce krwawiło z bólu, a do oczu napływały powoli ciężkie łzy.

- Kocham go! Kocham! - powiedziała na głos, wiedząc, że to nieszczęśliwa miłość, która nigdy się nie spełni, a przyniesie tylko rozpacz i cierpienie.

- Nie zniosę tego! - rzekła.

Wiedziała, co powinna teraz zrobić. Wstała z łóżka i zaczęła się ubierać.

Nie miała pojęcia, co stało się z ubraniem, w którym przybyła do Londynu, dlatego włożyła kostium jeździecki, w którym miała odbywać konne przejażdżki aleją Rotten Row. Nie spojrzała nawet w lustro, by zobaczyć, czy to nowe ubranie dobrze na niej leży.

Najważniejszą rzeczą, którą musiała teraz znaleźć, był kapelusz z przezroczystą woalką, stanowiący część kostiumu. Potrzebne jej były również rękawiczki, które niania schowała w jednej z szuflad, i specjalne oficerki pasujące do długiej jeździeckiej spódnicy z krochmaloną, obszytą koronkową taśmą halką.

Gdy była gotowa, podeszła do stołu i jak we śnie napisała krótki list zaadresowany do markiza:

Milordzie,

Musiłam wyjechać. Proszę nie gniewać się na mnie bardziej, niż w tej chwili. Nie chcę spotkać się z hrabią Buckcliffem, gdy jutro zjawi się w pałacu. Proszę powiedzieć mu, że nie ma Pan pojęcia dokąd się udałam i że nie ma po co mnie szukać.

Mam nadzieję, że Pan i Lady Rosebel będziecie razem szczęśliwi. Proszę wybaczyć mi wszystkie moje błędy i głupotę. Jej Lordowska Mość z pewnością zgodzi się, że nie pasuję do świata arystokracji, który zresztą od dawna mnie przerażał.

Jeszcze raz przepraszam za wszystkie zmartwienia i kłopoty.

Z uszanowaniem

Idona

Złożyła kartkę i napisała na niej nazwisko markiza. Położyła list na łóżku, gdzie nie mógł pozostać nie zauważony.

Otworzyła drzwi, wyjrzała z pokoju i szybko przemknęła przez korytarz.

Wiedziała, że z tyłu pałacu jest zejście do stajni. Korzystając z niego nie musiała schodzić do hallu i spotykać się z odźwiernym, który nocą pilnował budynku.

Z łatwością otworzyła drzwi i zeszła po schodach do niewielkiego ogrodu, gdzie zaczynała się ścieżka prowadząca do stajni.

Poczuła zapach siana i końskiego oddechu. Stajenny zasnął na kupce słomy, a kiedy dotknęła jego ramienia, obudził się przerażony i zaczął przeproszać.

- W porządku, nic się nie stało - odparła cichym głosem Idona. - Nie rób hałasu i nie budź nikogo. Jego lordowska mość pozwolił mi pojeździć na Zeusie, tak więc proszę, osiodłaj go dla mnie.

Wiedziała, że Zeus to najszybszy rumak markiza. Był z niego bardzo dumny i chwalił się, że zapłacił za niego astronomiczną sumę. Słyszała jednak, że ten koń wart był każdej ceny.

Teraz najważniejszą rzeczą była ucieczka. Wiedziała, że markiz domyśli się, gdzie jest i przyjedzie po Zeusa, albo raczej przyśle po niego swych parobków. Ona jednak ukryje się tak, że nikt nie będzie mógł jej znaleźć.

Ulice były ciche i opustoszałe. Nie zaczęło jeszcze świtać, ale gwiazdy powoli bladły. Idona pojechała na północ.

Wiedziała, że łatwo będzie jej wrócić do domu. Pamiętała, że droga, którą kilka dni temu przyjechała na Berkeley Square, była zupełnie prosta.

Koń był rześki i choć nigdy wcześniej nie siedziała na tak świetnym i szybkim rumaku, jazda na Zeusie nie sprawiała jej żadnych trudności.

Oddalwszy się trochę od miasta, ujrzała rozpościerające się dookoła połacie pól. Mijając przydrożne płoty, zrozumiała mężczyzn i ich miłość do koni.

Każda myśl o markizie sprawiała jej ból. Wiedziała, że ten ból będzie coraz silniejszy i w końcu stanie się zupełnie nie do wytrzymania. Nie miała jednak innego wyjścia, musiała go opuścić.

Nie potrafiłaby snuć się po pałacu przy Berkeley Square wiedząc, że go kocha. Poza tym, gdyby kiedykolwiek dowiedział się co czuje, byłaby straszliwie poniżona.

- Kocham go! - powiedziała.

Na dźwięk jej głosu Zeus nastawił uszu, ona zaś jeszcze raz poczuła smak ust markiza i płomienie rozpalające się w niej na wspomnienie pocałunku.

Rozdział 7

Idona przybyła do domu wczesnym rankiem. Słońce dopiero wychylało się nad horyzontu, a jego złociste promienie odbijały się w oknach budynku. To było tak, jakby dom witał ją w swoich progach.

Gdy wjechała na podwórze przed stajnią, usłyszała radosne rzenie Merkurego, który instynktownie wyczuł jej obecność.

Zeskoczyła z konia i w tym samym momencie ujrzała Neda, który wyszedł ze stajni i wpatrywał się w nią ze zdziwieniem w oczach.

- Nie spodziewaliśmy się panienki!
- Przyjechałam na jednym z koni markiza.
- Ale fajne zwierzę! - wykrzyknął z podziwem Ned.
- Niósł tak, jakby frunął w powietrzu - odrzekła Idona. — Podejrzewam, że jego lordowska mość przyśle po niego jeszcze dzisiaj, ale ktokolwiek by tu nie przyjechał, powiedz, że nie masz pojęcia gdzie mnie szukać.

Ned nie od razu zrozumiał o co chodzi.

- Wyjeżdża panienka?
- Tak - odrzekła stanowczym głosem Idona. - Wyjeżdżam.

Ned przygotował puste stanowisko dla Zeusa, a Idona zaczęła krzątać się przy Merkurym.

Widać było, że cieszy się z jej powrotu. Obwąchiwał ją i chował pysk między jej dłonie, a ona wiedziała, że nikt na świecie nie kocha jej tak, jak to zwierzę. Merkury nie zapomniałby o niej, choćby nie widział jej całe wieki.

Głaskała go przez chwilę, a potem postanowiła przywitać się z Adamem i jego żoną. Zasiadali właśnie do śniadania i byli równie jak Ned zaskoczeni jej widokiem.

Opowiedziała im tę samą historię, którą wcześniej usłyszał Ned: o tym, że przybyła na koniu markiza i że musi zaraz wyjechać.

Wiedziała, że wierzą jej między innymi z powodu jej eleganckiego stroju.

Wypiła filiżankę herbaty, zjadła niewielkie śniadanie i poszła na górę do swojej sypialni.

Miała wrażenie, że obudziła się z pięknego snu. W porównaniu z tym, co widziała w pałacu markiza, własny dom wydawał się jej bardzo zaniedbany.

Po raz pierwszy widziała to wszystko oczami markiza i jego babki. Z każdego kąta wyglądała bieda.

- To mój dom - powiedziała sobie - i nie mam innego.

Wszystko już dokładnie zaplanowała i wiedziała, że musi postępować zgodnie z zamierzeniami, w przeciwnym razie bowiem markiz będzie nalegał, by wróciła do Londynu i bez wątpienia zmusi ją do małżeństwa z hrabią Buckcliffem.

Zdjęła elegancki kostium jeździecki i zawiesiła go na samym końcu szafy, tak, by nikt go nie znalazł.

Włożyła jedną z bawełnianych sukienek, które nosiła przez wiele lat.

Spojrzała w lustro i pomyślała, z trochę wymuszonym uśmiechem, że gdyby hrabia zobaczył ją w tym stroju, odeszłaby mu ochota do dalszych zalotów.

Zbiegła po schodach do ogrodu.

Po śniadaniu powiedziała Adamowi i jego żonie, że wkrótce przyjedzie po nią powóz, a jeśli będzie musiała długo czekać, wyjdzie na drogę na jego spotkanie.

Wiedziała, że obydwójce są bardzo starzy i nie będą starali się nią zajmować. Trudno byłoby im nawet przejść do frontowej części domu.

Cały czas myślała, że gdyby markiz był trochę bardziej życzliwy, umieściłby ich w małej chatce we wsi.

Miała do siebie żal, że nie pomyślała o tym wcześniej i nie podsunęła mu tej myśli.

- Teraz jest za późno - stwierdziła. - Nigdy więcej nie mogłabym z nim rozmawiać, a tym bardziej słuchać jak ze mnie drwi. - Poczuła, że ogarnia ją smutek, próbowała więc pocieszać się myśląc o tym, jakim jest cynikiem i jak często w jego głosie słyszy sarkazm i znudzenie.

Wiedziała jednak, że bez względu na to co mówił, jak postępował, ciągle kocha go i nic nie może na to poradzić.

Zamknęła za sobą drzwi i weszła do ogrodu. Przemknęła między drzewami, wiedząc że jest mało prawdopodobne, by ktoś ją zobaczył. Najważniejsze, aby wszystkim się wydawało, że dawno już wyszła z domu.

Przez całą drogę z Londynu zastanawiała się nad tym, co powinna zrobić, aby markiz uwierzył, że wyjechała gdzieś daleko i ukryła się tak, iż nikt nie będzie w stanie jej odszukać. Wszystko dokładnie sobie zaplanowała.

Myślała w przygnębieniu, że ten, którego kocha, raczej nie zada sobie zbytniego trudu, by ją odnaleźć, chociaż hrabia Buckcliff może zmusić go do poszukiwań.

Minęła ogród i przeszła przez niewielki rozklekotany mostek, łączący dwa brzegi strumyka.

Znalazła się w parku i podeszła do jednego z drzew, które od czasów dzieciństwa miało dla niej ogromne znaczenie.

Ponieważ jako mała dziewczynka uwielbiała wspinać się na drzewa, ojciec wybudował jej na jednym z nich mały domek, który nazwał „Kruczym Gniazdem”. Często przesiadywała tam, oglądając świat z wysoka.

Teraz musiała wspinać się bardzo ostrożnie, gdyż niektóre gałęzie po latach stały się słabe i łamały się pod naciskiem stóp.

Drewniana podłoga z desek zachowała się w niezłym stanie, jednak słomiana strzecha była mocno podziurawiona i w czasie deszczu musiało tu być bardzo mokro.

Na środku „Kruczego Gniazda” stał małeńki drewniany stolik, na którym podawała lalkom herbatę, a także dwa stołeczki, na których czasem sadzała gości.

Ku swojemu zaskoczeniu spostrzegła kilka książek, które czytała w dzieciństwie. Były jej tak drogie i bliskie, że znała je niemal na pamięć.

Papier pozwijał się trochę od wilgoci, a okładki wyblakły. Gdy jednak wzięła książki do ręki, poczuła, że znowu jest dzieckiem, a wszystkie kłopoty przestają istnieć.

Nie bała się już niczego i wydawało jej się, że kiedy tylko zechce wrócić do domu, spotka tam swoją matkę.

Koło południa spojrzała w stronę drogi i zobaczyła zbliżającą się bryczkę.

Domyśliła się, że to pewnie markiz przysyła jednego ze swoich najlepszych parobków, by zabrał Zeusa i dowiedział się, czy Idona jest w domu.

Obserwując przez liście zbliżający się wóz, ze zdziwieniem stwierdziła, że oprócz parobka w bryczce siedzi niania, a obok niej leży mnóstwo bagaży.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Nagle ogarnęła ją czarna rozpacz. Zrozumiała, że markiz postanowił się jej pozbyć.

Nie spodziewała się czegoś takiego, przynajmniej nie od razu.

Jednak przysyłając nianię i wszystkie jej ubrania, dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie nadaje się do tego, by obracać się wśród arystokracji. Miała wrażenie, że znowu słyszy jego sarkastyczny głos.

Uświadomiła sobie, że bez dalszych uzasadnień przyjął jej decyzję i nawet nie zgani jej za ucieczkę.

Nagle zdała sobie sprawę, że markiz nie chce mieć z nią więcej nic wspólnego, co zresztą w takiej sytuacji było zupełnie zrozumiałe. Została teraz sama ze swoimi problemami, bez pieniędzy i bez dachu nad głową.

Przyszłość była jak nie kończąca się pustynia, rozciągająca się przed nią aż po horyzont.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie pobiec do domu i nie zatrzymać bryczki. Mogłaby jeszcze powiedzieć, że zmieniała zdanie i chce wrócić do Londynu.

Mogłaby pojechać na Zeusie, a niania i pakunki zostałyby z powrotem odwiezione na Berkeley Square.

Wtedy przypomniała sobie, że jeśli tak zrobi, będzie musiała spotkać się z markizą, a później, po południu, z hrabią Buckcliffem.

- To nie ma sensu - pomyślała z rozpaczą. - Choćby chciał podarować mi cały świat - niebo i ziemię, musiałabym mu odmówić. Wolałabym raczej przymierać głodem, niż zostać jego żoną.

Wiedziała, że zarówno markiz jak i jego babka będą uważać, że postępuje strasznie głupio, jednak bez względu na wszystko nie mogą jej zmusić do małżeństwa z człowiekiem, którego nie kocha.

- Jak mogłabym pokochać kogokolwiek teraz, gdy moją jedyną miłością jest markiz? - pytała.

Jej życie tak strasznie się skomplikowało, że cokolwiek teraz uczyni, będzie to niewłaściwe.

Mogła tylko siedzieć i rozpaczliwie szukać rozwiązania, które nie byłoby tak haniebne, jak powrót do Londynu i przeproszenie za ucieczkę.

Przypomniała sobie obejmujące ją ramiona hrabiego i dotyk jego warg na policzku.

Wiedziała, że nigdy do niego nie wróci, nawet jeśli teraz miałaby głodować.

Było to zresztą bardzo prawdopodobne.

Niania otrzyma swoją pensję, podobnie jak Ned, Adam i jego żona.

Idona zdawała sobie sprawę, że jeśli zdecyduje się ukrywać, będzie zmuszona albo nic nie jeść, albo poprosić służbę o pomoc.

Kiedy jechała z Londynu, wszystko wydawało się tak proste. Zamierzała ukryć się gdzieś w majątku, tak by markiz nie mógł jej odnaleźć, a potem, gdy ustaną poszukiwania, ujawnić się starym służącym i pozostać w rezydencji.

Teraz zrozumiała, że nie wzięła wszystkiego pod uwagę.

Musi przecież coś jeść, a to oznacza uzależnienie od służących i powierzenie im swojej tajemnicy.

Choć wiedziała, że rozmyślnie nigdy jej nie zdradzą, obawiała się, że mogą to zrobić zupełnie niechcący.

Z nianią również nie byłoby kłopotów, ale podobnie jak markiza, ta stara kobieta uważałaby, że Idona postępuje absurdalnie nie chcąc przyjąć oświadczyn bogatego, wysoko postawionego dżentelmena. Na pewno cały czas namawiałaby ją do powrotu.

Co gorsza, choć to mało prawdopodobne, niania mogłaby uważać, że jej obowiązkiem jest poinformowanie markiza o tym, gdzie znajduje się Idona,

- Cóż mam uczynić? - pytała.

Myśli biegały jej po głowie, a ona nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na żadne z pytań.

Kochała go jednak i choć nie chciała się przed sobą do tego przyznać, pragnęła, by przyjechał po nią. Spoglądała więc na drogę z nadzieją, że zobaczy jego elegancką karetę zaprzęzoną w cztery prześliczne konie.

A może przybędzie na jednym ze swoich wspaniałych wierzchowców? Poczuła, jak serce zabiło jej w piersi na samo wspomnienie markiza.

Droga była jednak pusta. Dopiero około drugiej ujrzała bryczkę, która wyruszała w stronę Londynu. Jeden mężczyzna powoził, a drugi jechał obok na Zeusie.

Widziała, jak koń wierzgał i parskał przy każdej przeszkodzie, jaka pojawiła się na drodze, a od czasu do czasu próbował nawet zrzucić jeźdźca z siodła, by w ten sposób zademonstrować swoją niezależność.

Patrząc na niego przypomniała sobie, jak wspaniale było pędzić na nim o poranku.

Jeszcze raz poczuła nieopanowaną chęć zatrzymania służących markiza, którzy bez niej wracali do Londynu. Było jednak zbyt późno. Nawet gdyby w tej chwili zeszła z drzewa, zanim zdążyłaby dobiec do drogi, zniknęliby jej z oczu.

- Za późno!

Słowa dzwoniły jej w uszach, a przez moment miała nawet wrażenie, że słyszy głos niani:

- Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz.

- Chyba to właśnie będę musiała zrobić - powiedziała do siebie - a co gorsza, już teraz czuję, że będzie mi bardzo niewygodnie.

Siedziała w „Kruczym Gnieździe” aż do wieczora. Musiała sama przed sobą przyznać się, że ciągle jeszcze ma nadzieję, iż nagle zobaczy na drodze markiza.

Później jednak przypomniało jej się, że on nie chce mieć z nią więcej nic wspólnego i dawno przestał interesować się jej losem.

- Być może później - myślała ze smutkiem - przyśle pana Lawsona albo któregoś ze swoich pracowników, aby dowiedzieli się od służby, co się ze mną dzieje.

W ten sposób uspokoi swoje sumienie i nie będzie już musiał pamiętać o niej, tym bardziej że poślubi lady Rosebel.

Zrobiło się trochę chłodno, więc postanowiła wrócić do domu. Przeszła po chwiejącym się mostku, a potem ruszyła w stronę rozrośniętych krzewów w ogrodzie.

Wiedziała, że z pewnością nikt nie zamknął drzwi od domu. Stwierdziła również, że jest zbyt nieszczęśliwa, by odczuwać głód.

Zastanawiała się, czy później będzie mogła zejść do kuchni i poprosić o coś do jedzenia.

Będzie musiała się przyznać, że kłamała. Zdawała sobie sprawę, że Adamowie i niania z grzeczności nie zapytają o jej dalsze plany, będą się jednak zastanawiać, co zamierza teraz zrobić.

Przeszła przez korytarz i tak jak dawniej otworzyła drzwi do bawialni matki. Nagle ogarnęło ją uczucie, że wszystko co się zdarzyło, jest tylko snem.

Wydawało jej się, że znajdzie matkę, która siedzi przy stole i martwi się o nie zapłacone rachunki albo haftuje coś przy kominku.

W tym pokoju wypełnionym blaskiem zachodzącego słońca ożywały jej wspomnienia. Podeszła do kominka i odchyliła głowę, by spojrzeć na portret matki wiszący na ścianie.

- Pomóż mi, mamó - powiedziała błagalnym głosem. - Jestem sama, boję się... i nie wiem, co robić.

Wyczekiwała, gdyż zdawało jej się, że oczy matki, tak bardzo podobne do jej własnych, patrzą na nią i być może za chwilę usłyszy odpowiedź.

Nagle dobiegł ją cichy głos z drugiej części pokoju:

- Być może powinna pani wysłuchać teraz mnie!

Idona wzdrygnęła się.

Próbując wyjąkać jakieś niezrozumiałe słowa, odwróciła się i ujrzała markiza, który siedział na jednym z foteli pod oknem.

Przez chwilę nie mogła uwierzyć, że tam był i tylko nadludzkim wysiłkiem powstrzymała się przed rzuceniem mu się w ramiona.

Przyjechał! Siedział tutaj! Jeśli to zrobił, to choć trochę musiał się o nią martwić!

Podczas gdy jej serce śpiewało z radości, rozum przypominał, że ten człowiek jest zaręczony z Rosebel, a ona sama jest dla niego tylko uciążliwą przeszkodą.

Stała wpatrując się w niego, więc po chwili powiedział:

- Dlaczego uciekła pani po tym, co powiedziałem w nocy? Postąpiła pani bardzo nierozsądnie.

Nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o wczorajszym pocałunku. Czując jak do twarzy napływa jej rumieniec, spuściła wzrok.

Markiz wstał z fotela i wolno podszedł do niej.

Nie musiała patrzeć na niego, aby wiedzieć, jak przystojnie wygląda w swoim jeździeckim stroju i wysokich, wypolerowanych butach.

Zapewne przybył z Londynu konno, okreśną drogą, tak iż nie widziała, jak zajeżdża pod dom.

- Czy... pan naprawdę tutaj jest? - spytała. - Nie widziałam... kiedy pan przyjechał.

- Domyśliłem się, że jeśli mnie pani zobaczy, to nigdy więcej nie ujrzę pani - odparł. - Byłem jednak pewien, że jeśli poczuje się pani opuszczona i nieszczęśliwa, to przyjdzie pani do tego pokoju, by porozmawiać z matką.

Przypomniała sobie, jak kiedyś znalazł ją płaczącą na sofie. Odwróciła więc głowę i powiedziała szybko:

- Nie mogę zrozumieć... dlaczego... robił pan sobie kłopot przyjeżdżając tutaj! Podałam panu powód... mojej ucieczki.

- Nie chce pani poślubić Buckcliffa. To zrozumiałe, ale wcześniej mogła pani przedyskutować to ze mną.

Idona nabrała powietrza.

- Wiedziałam dobrze, co pan powie. Nasłuchiwałam się już dostatecznie dużo od markizy i lady Rosebel.

Wymawiając ostatnie słowo, westchnęła cicho i spytała:

- Czy Rosebel bardzo zmartwiła się... że znalazł mnie pan? Czy bardzo się pan na nią gniewał?

- Nie rozmawiamy teraz o Rosebel - odrzekł markiz - lecz o pani.

- Bardzo... bardzo przepraszam.

- Za co?

- Za to, że sprawiam panu... tyle kłopotów. Właśnie zdałam sobie sprawę, że byłoby mi bardzo trudno ukrywać się tutaj tak, aby nikt... o tym nie wiedział...

Przerwała. Ponieważ jednak miała wrażenie, że markiz czeka, aż skończy swoją myśl, dodała:

- Tak naprawdę... nie brałam pod uwagę tego... że muszę coś jeść... i że nie mam pieniędzy... by kupować jedzenie.

Markiz uśmiechnął się.

- Cały ten pomysł był bardzo niepraktyczny, a poza tym nie wolno było pani jeździć samotnie na Zeusie. Co by pani zrobiła, gdyby jacyś rozbójnicy próbowali go pani odebrać?

- Nie pomyślałam o tym... ale na pewno nie dogonili by mnie!

- Tak czy inaczej, drugi raz nie wolno pani tego robić!

Idona chciała powiedzieć, że raczej nie będzie miała już okazji jeździć na którymkolwiek z jego koni.

Stała jednak wpatrując się w okno, świadoma tego, że markiz jest bardzo blisko i cały czas przygląda się jej.

Po chwili, nie słysząc odpowiedzi, rzekł:

- Wydaje mi się, że dobrze odczytuję pani myśli. Żałuję pani tak pochopnej ucieczki z Berkeley Square.

- Ja... musiałam wyjechać.

- Ponieważ obawiała się pani, że zechcę, aby poślubiła pani Buckcliffa? Jak mogła pani choć przez chwilę pomyśleć, że zmuszę ją do małżeństwa z człowiekiem, który wydaje się jej niemiły?

Twarz Idony rozjaśniła się.

- Czy... naprawdę pan tak myśli? Naprawdę? Mówiąc to spojrzała na markiza i dostrzegła w jego wzroku coś dziwnego, coś, czego nigdy wcześniej nie widziała.

Trudno jej było patrzeć mu prosto w oczy, a jednocześnie nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Tak naprawdę - powiedział markiz cichym, spokojnym głosem - nie mam zamiaru pozwolić, by poślubiła pani kogokolwiek — oprócz mnie!

Idona nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Zaraz jednak rzuciła mu się w ramiona, a on wyciągnął ręce, by przygarnąć ją do siebie.

Nie opierała się, gdy przytulił ją mocno. Drżała w jego objęciach, lecz on wiedział, że to nie strach jest przyczyną tego drżenia.

- Powiedziałaś mi, że poślubisz tylko mężczyznę, którego pokochasz i że nie interesuje cię jego majątek. Czy to prawda?

Idona nabrała powietrza.

Chciała odrzec, że kocha go bez pamięci i nigdy nie wyjdzie za innego człowieka.

Nie potrzebowała jednak nic mówić, gdyż on sam wiedział, jaka jest odpowiedź. Odezwał się więc cicho:

- Zrobisz dokładnie tak jak zechcesz i nic nie stanie ci na przeszkodzie.

Obejmował ją coraz mocniej, aż w końcu jego usta znalazły się na jej wargach. Wszystko dookoła zajaśniało przedziwnym blaskiem. Znowu poczuła uniesienie, które poznała wczorajszej nocy, a muzyka płynąca z jej serca zabrzmiała jak szalone crescendo.

Pocałunek sprawił, że znowu znalazła się wśród gwiazd. Całe jej ciało wypełniło się życiem i było to uczucie tak niezwykle, cudowne, że cieszyła się, iż nie będzie musiała umrzeć nie zaznawszy tej boskiej radości.

Chciała żyć, aby te pocałunki mogły trwać dalej, bez końca. Jeszcze mocniej wtuliła się w niego, a jej usta były miękkie i gorące

W końcu, po dłuższym czasie, markiz uniósł głowę i powiedział dziwnym, niepewnym głosem:

- Jak śmiałaś uciekać ode mnie? Nikt wcześniej tak mnie nie nastraszył! Bałem się, że cię stracę!

- Ja... Kocham cię!

Po chwili dodała jednak łamiącym się szeptem:

- Ale... Rosebel...!

- Rosebel poślubi mężczyznę, którego kocha. Prawdę mówiąc, nigdy nie chciałem się z nią ożenić, chociaż wielu ludzi starało się mnie w to wplątać.

- Ale Rosebel... nie chciała... być biedna - powiedziała cicho Idona, chcąc zrozumieć, co zaszło w Londynie.

Markiz uśmiechnął się, tak jakby teraz wszystko było bez znaczenia. Muskając ustami jej policzek, rzekł:

- Muszę przyznać, że ułatwiłem jej przyjęcie oświadczyn od lorda Rocke'a, ponieważ oddałem mu jedną z moich posiadłości oraz dom, aby mieli gdzie zamieszkać.

Idona aż krzyknęła z radości.

- W takim razie Rosebel będzie szczęśliwa! Tak się cieszę... Tak bardzo się cieszę!

- Skoro więc pozbyłem się wszelkich zobowiązań, co zamierzasz ze mną uczynić? - zapytał.

Czuł, jak po ciele Idony przebiega dreszcz, oświadczył więc:

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że skoro uratowałaś mi życie, musisz opiekować się mną aż do śmierci?

- Jak... Jak to?

Nie mogła mówić, gdyż w sercu słyszała muzykę, a cała jej dusza wypełniona była życiem. Nigdy wcześniej nie знаła tego uczucia.

Markiz znowu uśmiechnął się i powiedział:

- Na pewno znasz odpowiedź, ale wydaje mi się, że każda kobieta ma prawo usłyszeć normalne oświadczyni.

- O... Oświadczyni? - wyszeptła Idona. - Czy naprawdę będę mogła poślubić... cię?

- Chcę się z tobą ożenić! - oświadczył markiz. - Właściwie to wszystko jest już przygotowane.

- Kocham... Kocham cię tak bardzo... że trudno mi pozbierać myśli... Wydaje mi się jednak... że nie mogę wyjść za ciebie.

- Dlaczego nie?

- Jesteś... tak ważny... tak wspaniały... i dobrze wiesz, jak boję się tych wszystkich ludzi, wśród których... ty się obracasz.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że poślubisz tylko mężczyznę, którego pokochasz - przypomniał jej markiz - i że wolisz raczej szorować podłogi albo zostać starą panną, niż wyjść za kogoś tylko dla jego majątku i pozycji.

- To... prawda - zgodziła się Idona.

- W takim razie, czy ważna jest moja pozycja, skoro kochasz mnie jako mężczyznę?

- Kocham cię! Nigdy jednak nie myślałam... że się o tym dowiesz.

Markiz roześmiał się.

- Domyślałem się jeszcze zanim pocałowałem cię wczorajszej nocy. Kochana, przecież wiesz, że potrafię czytać w twoich myślach. Po tym pocałunku zrozumiałem, że takiej miłości jak twoja szukałem przez całe życie i nigdy nie miałem nadziei, że ją znajdę.

- Czy to prawda? Czy to może być prawda? - spytała Idona.

Mówił takim tonem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszała:

- Zawsze byłem przekonany, że dla kobiet, które spotykam, ważniejszy jest majątek i tytuły, niż moja osoba.

- Wiesz, że to wszystko... nie ma dla mnie znaczenia - powiedziała Idona.

- Dałaś mi to wyraźnie do zrozumienia, gdy rano uciekłaś z pałacu - powiedział - i nie chcę stracić cię ponownie. Dzisiaj o szóstej odbędzie się nasz ślub!

Idona spojrzała na niego zaskoczona.

- Czy... powiedziałaś... o szóstej?

- Uważam, że nie powinniśmy zwlekać - oświadczył markiz. - Niania przygotowała wszystko w sypialni na górze, a ksiądz czeka na nas w kościele przy cmentarzu, na którym spoczywają wszyscy twoi przodkowie.

- Nie... Nie mogę uwierzyć... że mam zostać twoją żoną. A co pomyślą... twoi przyjaciele? I twoja babka?

- Czy oni mają coś do powiedzenia? - zapytał markiz - Czy cokolwiek znaczy więcej niż to, że mamy siebie, że obydwójce znaleźliśmy miłość, o której zawsze mówiłaś? Byłem przekonany, że taka miłość nie istnieje.

- Kocham cię! Naprawdę cię kocham! - wykrzyknęła Idona. - Kocham cię tak mocno, że rozstanie z tobą byłoby gorsze od śmierci! Ale co się stanie, jeśli cię zawiodę, jeśli będziesz przeze mnie nieszczęśliwy?

Markiz uśmiechnął się delikatnie.

- Jeśli nasze pocałunki sprawiają, że czujemy się jak bogowie, nie musimy martwić się o nic więcej.

Pocałował ją, a ona miała wrażenie, iż jej dusza opuszcza ciało i wlatuje wysoko do nieba.

Markiz zwolnił uścisk ramion mówiąc:

- Idź, przygotuj się, kochanie. Chciałbym tu zostać i całować cię bez końca, jednak wszystko będzie prostsze, a może nawet bardziej cudowne, gdy zostaniesz moją żoną.

Było tak wiele rzeczy, o które chciała zapytać, lecz postanowiła być mu posłuszna. Szybko pocałowała go w policzek, a kiedy jego ramiona wyciągnęły się znowu w jej stronę, wymknęła mu się i podbiegła do drzwi.

Gdy odwróciła się, by spojrzeć na niego pełnymi miłości oczami, wpadające do pokoju promienie słońca rozświetliły jej złociste włosy.

Markiz był pewien, iż nigdy przedtem nie widział tak pięknej istoty.

Dokładnie za dziesięć szóstą Idona zeszła po schodach do hallu, gdzie czekał na nią markiz. Miała na sobie białą suknię, jedną z tych, które niania przywiozła rano z Londynu.

Jej głowę zdobił przepiękny koronkowy welon i wianek z kwiatów pomarańczy. Taki sam wianek nosiła w dzień ślubu jej matka i wszystkie inne damy z rodu Overtonów. Dla markiza Idona była wcieleniem tego wszystkiego, czego oczekiwał od żony.

Kochał ją nie tylko dlatego, że była piękna, ale także ze względu na jej nieśmiałość i brak pewności siebie połączonej z miłością, która rozjaśniała jej oblicze.

Zawsze marzył o takim ślubie, choć nie wierzył, że coś tak wspaniałego kiedykolwiek może mu się przytrafić.

Gdy pomagał Idonie wsiąść do powozu, podając jej cudowny bukiet białych orchidei, ich oczy spotkały się, a on zdał sobie sprawę, że tych niezwykłych uczuć, które przepełniają jej serce, nie da się wyrazić słowami.

W drodze do kościoła nie rozmawiali ze sobą. Markiz trzymał delikatnie jej dłoń i dopiero gdy powóz zatrzymał się, powiedział cichym głosem:

- Kocham cię, najdroższa!

Widział, jak lekko zadrżała z emocji, a sam poczuł, że i jego miłość wzmagą się niczym fala morskiego przyływu.

Tal: jak było umówione, ksiądz czekał na nich w kościele.

Ołtarz ozdobiono białym bzem, a organista grał cichą, spokojną melodię. W kościele oprócz nich nie było nikogo.

Idona uklękła przy markizie, a ksiądz udzielił im ślubu. Cały czas miała wrażenie, że rodzice patrzą na nią z góry i razem z nią cieszą się, iż znalazła tak cudowną miłość.

W drodze powrotnej do dworu markiz ucałował po kolei każdy paluszek Idony, a potem powiedział:

- Wydaje mi się, najdroższa, że chcesz, choć to trochę nietypowe, abyśmy właśnie tutaj rozpoczęli nasz miodowy miesiąc.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Czy to znaczy... że zostaniemy tutaj? Myślałam...

- Powiedziałem ci kiedyś, po pierwszej nocy spędzonej w sypialni twego ojca, że panuje tam wspaniały nastrój, którego nigdzie indziej nie spotkałem - odrzekł markiz. - W tym pokoju czuje się miłość i dlatego właśnie tam chciałbym rozpocząć nasze wspólne życie.

Idona wydała z siebie okrzyk zachwytu.

- To najwspanialsza rzecz, jaką mogłeś wymyślić. To wspaniałe... cudowne... Oczywiście, że chcę zostać tutaj, w moim własnym domu! Wydaje mi się, że ile bym się czuła w jednym z twoich ogromnych pałaców.

- Później się do nich przyzwyczaisz - rzekł markiz, - Tutaj nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Zamilkł, lecz po chwili dodał:

- Dokładnie porozmawiamy o tym później, wydaje mi się jednak, że powinniśmy razem odnowić ten dom. Trzeba przywrócić mu jego dawną świetność, byśmy mogli przyjeżdżać tu i będąc sam na sam ze sobą, na nowo wyznawać sobie miłość.

Idona rozplakała się ze szczęścia.

- Tylko ty mogłeś wymyślić coś tak wspaniałego - powiedziała, a potem dodała ledwo słyszalnym głosem: - Ale przecież wygrałeś mnie w karty!

- Miłość jest grą - odpowiedział łagodnym tonem markiz. - Postawiłem wszystko na jedną kartę i dzięki temu wygrałem najcenniejszą stawkę, jaka tylko może być na świecie. Jesteś nią właśnie ty!

Idona nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Łzy szczęścia nie pozwalały jej mówić.

Markiz postarał się o to, by nie musieli jeść w ogromnej jadalni, która przypominała Idonie o kolacji, spożywanej tu ostatnio w towarzystwie Clarice Clairmont.

Stół zastawiono zatem w niewielkim buduarze, który znajdował się obok sypialni ojca.

W przeszłości rzadko korzystano z tego pokoju, toteż Idona zdziwiła się, gdy zobaczyła buduar cały w kwiatach. Markiz siedział już w fotelu, czekając na nią.

Były tam goździki, róże i orchidee - kwiaty, które z pewnością przywiózł ze sobą z Londynu.

Pokój wyglądał wspaniale, a gdy usiedli przy stole oświetlonym blaskiem świec, Idona miała wrażenie, że jej mąż przeniósł ją do jakiegoś zaczarowanego kraju, gdzie nie ma nikogo oprócz nich.

Zanim jednak zaczęli jeść, markiz otworzył aksamitne pudełeczko i wyjął z niego cudowną diamentową kolbę.

- Oto mój prezent ślubny, kochanie — powiedział.

Idona na chwilę przypomniała sobie rubinowy naszyjnik, o który prosiła Clarice Clairmont. Markiz jednak mówił dalej:

- Nie kupiłem jej dla ciebie. Ta kolba należała do mojej matki, a ona lubiła ją bardziej, niż wszystkie inne klejnoty. Zawsze wiedziałem, że jedyną osobą, która założy ten naszyjnik, będzie moja żona.

Idona delikatnie dotknęła diamentów palcami.

- Jest prześliczna. Jak mam ci dziękować?

- Powiem ci później - markiz uśmiechnął się.

Przy stole usługiwali im służący. Szef kuchni pałacowej przyjechał specjalnie, aby przygotować młodej parze kolację. Był to ten sam kucharz, który kiedyś przybył tu razem z markizem, jednak dzisiejsze dania przewyższały smakiem wszystkie potrawy, jakie Idona kiedykolwiek miała w ustach.

Czuła taką radość i podniecenie, że chciała tylko upewnić się, czy aby markiz naprawdę jest przy niej i czy nie jest to jedna z bajek, które kiedyś sama sobie opowiadała. Czasem zdarzało jej się wierzyć, że to, co sobie wymyśliła, dzieje się naprawdę.

- To nie sen - odezwał się łagodnym głosem markiz, jak gdyby wiedział o czym myśli.

Idona roześmiała się mówiąc:

- Jeśli zawsze będziesz czytał w moich myślach, nie będę musiała w ogóle się odzywać i ludzie pomyślą, że jestem niemową!

- Jest wiele rzeczy, które chcę ci powiedzieć i wiele rzeczy, które chcę usłyszeć od ciebie - odrzekł markiz - ale będziemy mieć na to mnóstwo czasu... Tak naprawdę - całe życie.

- Czy... przez tak długi czas... nie znudzisz się mną?

To pytanie miało coś z flirtu, naprawdę jednak było bardzo poważne. Markiz wiedział, że Idona ma na myśli Clarice Clairmont i podobne jej kobiety.

- Teraz to już przeszłość - oświadczył - a osoba, o której przed chwilą myślałaś, znalazła sobie już innego wielbiciela. On pewnie kupi jej dom, którego nie udało jej się uzyskać ode mnie.

- A... rubinowy naszyjnik? - spytała Idona.

- Dostała go na pożegnanie - odparł markiz - a poza tym, nie powinnaś mi zadawać takich pytań.

- Dlaczego? - zdziwiła się Idona.

Markiz wiedział, że nie zrozumiała, o co mu chodzi, więc roześmiał się.

- Możesz pytać mnie o co chcesz, kochanie - odrzekł. - Chciałbym tylko, abyś uwierzyła, że w moim życiu nie będzie więcej takich kobiet, jak Clarice Clairmont i dzięki Bogu nikt już nie rozkaże mi poślubić Rosebel, ani żadnej innej damy „z dobrego domu”.

Idona podała mu rękę przez stół.

- Co by się stało, gdybym wtedy nie pojechała do lasu na Merkurym? Tak naprawdę zastanawiałam się, czy nie uciec przed tobą. Wydawało mi się, że będziesz jakimś okropnym starcem i... bardzo się ciebie bałam.

- Nienawidziłaś mnie, a jednak uratowałaś mi życie.

- Zastanawiałam się nad tym dzisiaj rano... Bałam się... że nigdy więcej cię nie zobaczę i pomyślałam... że już wtedy musiałam cię kochać, choć nie zdawałam sobie z tego sprawy...

Westchnęła cicho mówiąc:

- Wydaje mi się... że jakieś dziwne moce przyciągały nas do siebie... jednak nie miałam na tyle wiary... aby to sobie uświadomić.

- Mam nadzieję, że te moce na zawsze połączą nas ze sobą - odrzekł markiz.

Mówiąc to ujął jej dłonie i razem wstali od stołu.

Myślała, że pocałuje ją, on jednak poprowadził ją do drugiego pokoju, który kiedyś należał do jej ojca.

Wszystko było tu tak jak dawniej, tylko że teraz po obydwu stronach łóżka i przy stoliku pod oknem stały ogromne wazy pełne orchidei.

W pokoju były tylko dwie świece, lecz w kominku palił się jasny ogień.

Markiz przez chwilę stał wpatrzony w Idonę, a potem powiedział:

- Kocham cię, najdroższa, i nie chciałbym cię przestraszyć. Pragnę jedynie, abyś była blisko mnie, tak jak wczorajszej nocy, a nawet jeszcze bliżej!

- Wczoraj, gdy zostawiłeś mnie samą - odezwała się cichutkim głosem Idona - wiedziałam, jak bardzo cię kocham.

Myślała, że markiz pocałuje ją, on jednak rozpiął jej diamentowy naszyjnik i schylając głowę dotknął ustami jej warg, a potem gładkiej szyi.

Idona nigdy wcześniej nie czuła czegoś podobnego. Ogarnęło ją cudowne uniesienie. W jej ciele zapłonął ogień. Rozpaliły ją jego gorące usta. Nie czuła nawet, że powoli zdejmuje z niej suknię.

Nagle, zupełnie niespodziewanie chwycił ją w ramiona, przeniósł na łóżko i ułożył na miękkich poduszkach.

Przypomniała sobie, jak kiedyś, leżąc w łóżu rodziców, przyglądała się baldachimowi i rzeźbionym połączonym słupkom, na których był zamocowany.

Dziwiła się, że kominek wygląda zupełnie inaczej, gdy patrzy się na niego z pozycji leżącej.

Nagle zdała sobie sprawę, jak wielu jej przodków spało już w tym łóżu. Tutaj rodzili się i kochali. Miało to dla niej ogromne znaczenie i czuła, że markiz ją rozumie.

Była pewna, że teraz, gdy są nareszcie razem, nie tylko matka i ojciec, ale także wszystkie pokolenia Overtonów będą błogosławić ich i modlić się o ich szczęście.

Nagle ogień w kominku rozbłysnął nieco jaśniejszym światłem, a markiz położył się przy niej. Jej serce zabiło mocniej, gdy poczuła na sobie jego twarde, umięśnione ciało.

- Kocham cię, moja najdroższa, maleńka żono! - powiedział. - Nie wiedziałem, że można kogoś tak bardzo kochać! Teraz należysz już tylko do mnie i nigdy więcej mi nie uciekniesz!

- Czy myślisz... że chciałabym uciekać? - zapytała Idona. - Skąd mogłam wiedzieć dziś rano... gdy byłam tak bardzo... nieszczęśliwa, że sprawisz... iż wszystko tak cudownie się ułoży.

Markiz oparł się na łokciu i patrzył na jej piękne ciało oświetlone płomieniami z kominka.

- Co sprawia, że jesteś tak bardzo inna niż pozostałe kobiety? - zapytał.

- Mogłabym ci podać milion odpowiedzi na to pytanie - odparła Idona. - Nie mam w sobie nic z tych... rzeczy... które fascynowały cię w przeszłości.

- Po pewnym czasie jednak zawsze czułem się nimi znudzony - odparł markiz. - Zawsze przynosiły rozczarowanie. Myślę, że tak naprawdę, chodzi po prostu o to, że jesteś nie tylko piękna i inteligentna, ale także masz dobre serce.

Idona westchnęła, lecz on mówił dalej:

- Zawsze wydawało mi się, że zbyt wiele oczekuję od życia. Nie myślałem, że znajdę kobietę, która wierzy, iż najważniejsza w życiu jest prawdziwa, bezinteresowna miłość - miłość, która chce przede wszystkim dawać, a nie brać.

- Chcę dać ci wszystko, czego pragniesz - odrzekła z zapałem Idona - ale nie mam nic... nic oprócz... kochającego serca.

Ostatnie słowa powiedziała bardzo cicho i zaraz potem ukryła twarz w ramionach markiza.

On jednak uniósł delikatnie jej małą bródkę i patrząc jej w oczy, rzekł:

- Pragnę twego serca! Straszliwie go pragnę! Chcę, by należały do mnie twoje myśli, twoje sny i to, w co wierzysz, twoja dusza. Musisz dać mi to wszystko, nie pójde na kompromis!

- To wszystko... należy do ciebie! Wiesz, że to wszystko należy do ciebie! - mówiła Idona.

- Chcę jeszcze czegoś!

- Co masz na myśli?

- Pragnę twego cudownego, niezwykłego, najdroższego ciała, którego nigdy wcześniej nie dotykał żaden inny mężczyzna. Czy dasz mi siebie?

- Jestem twoja... Tak długo jak tylko chcesz!

- To znaczy na zawsze!

Zaczął całować ją, najpierw delikatnie, jakby pragnął ją uwieść, a potem, gdy poczuł, jak rozpała się w niej ogień, jego usta stawały się coraz bardziej natarczywe, a jego dłonie dawały jej pieśczoć, jakich nigdy wcześniej nie znała.

Czuła, jak bije jego serce, a on unosił ją wysoko do gwiazd, aż połączyli się w chwale niebios, w muzyce, którą słyszała, gdy markiz obsypywał ją pocałunkami.

Pokój przepelniony był zapachem kwiatów i wszystko dookoła było tak niezwykle piękne, iż zdawało jej się, że jest w raju.

- Kocham... cię!

Nie musiała nic mówić. Słowa wypłynęły jej prosto z serca i połączyły się z jego wyznaniem.

Ta miłość, którą tak cudownie obdarzał ją markiz, była miłością samego Boga.